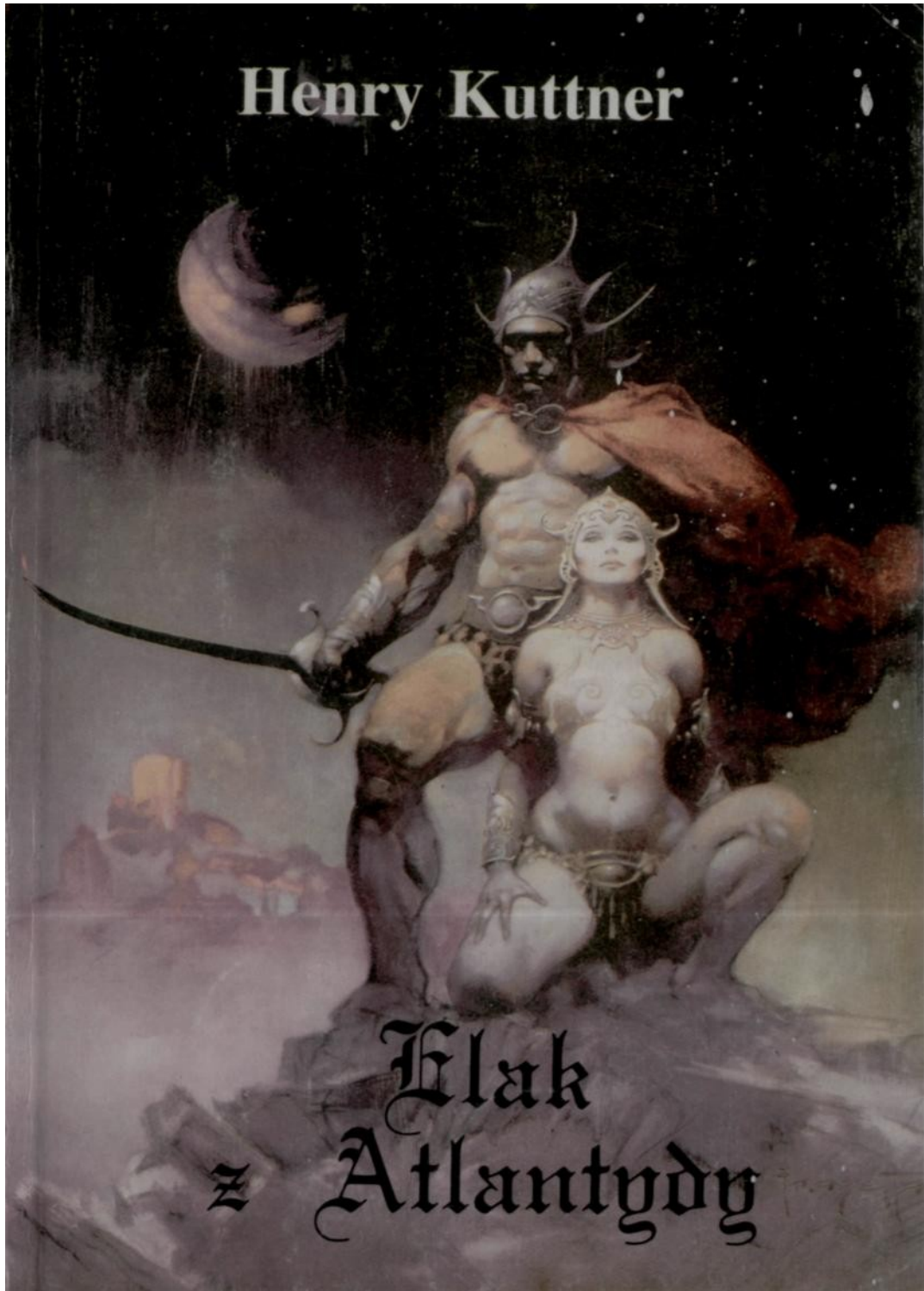


Henry Kuttner

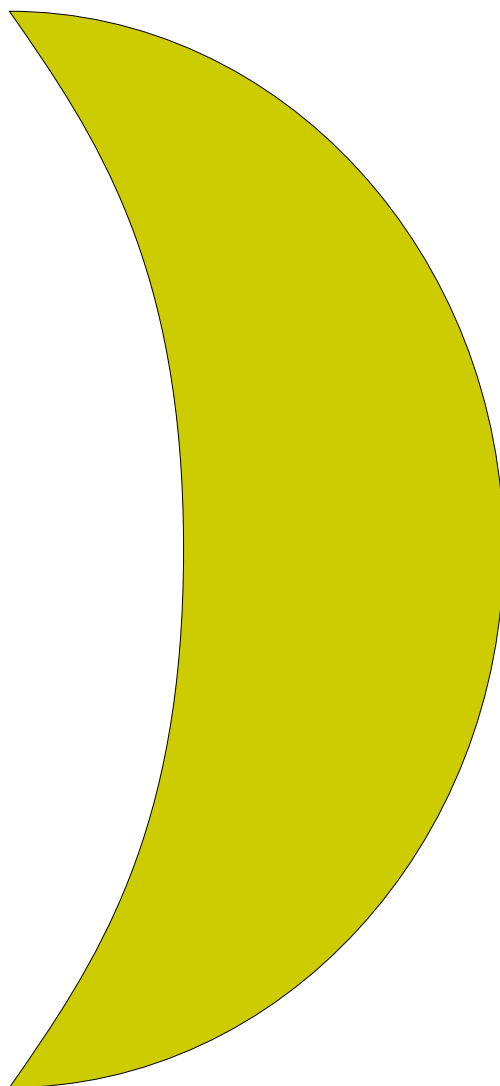


Flak
z Atlantydq

Henry Kuttner

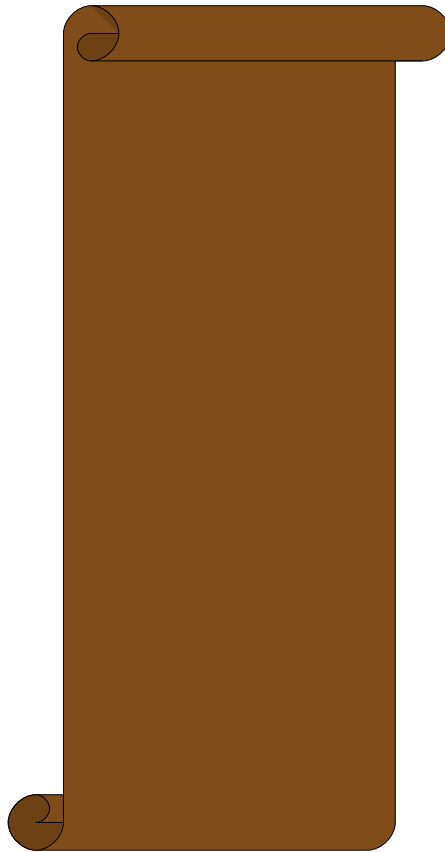
ELAK Z ATLANTYDY

**przełożył Piotr W.
Cholewa**



Tytuł oryginału:
Elak of Atlantis, Gryphon, New York 1985

Okładka:
FRANK FRAZETTA



GROM O ŚWICIE

1. Czary druida

W tawernie panował półmrok, a powietrze gęste było od dymu. W panującej wrzawie dało się słyszeć ochryple przekleństwa i rubaszny śmiech. Przez otwarte drzwi wpadał chłodny wiatr, niosący zapach soli od strony morza niezmiernie obmywającego wybrzeża Posejdonii. Przy jednym ze stołów siedział samotnie niski, gruby mężczyzna i mrużąc coś do siebie, bez umiaru opróżniał kolejne puchary wina, przynoszone przez oberżystę. Jednocześnie obrzucał salę ukradkowymi spojrzeniami. Nie pomijał najmniejszego szczegółu.

Był trochę przestraszony i dlatego zapewne nie upijał się tak szybko jak zwykle. Jego przyjaciel Elak spóźnił się już o dobre kilka godzin. Nie spieszył się z powrotem z potajemnej wizyty u damy wysokiego rodu, małżonki księcia Atlantydy. To wystarczyłoby Lycon się niepokoił. A przecież miał jeszcze w pamięci groźne wydarzenia ostatnich tygodni, nieustające wrażenie, że ktoś ich śledzi, i spotkanie z zamaskowanymi żołnierzami w lesie pod Posejdonią. Ocaliło ich mistrzostwo Elaka we władaniu mieczem. Jego przyjaciel uznał, że napad był dziełem najemników księcia Garnicora, lecz Lycon nie był o tym przekonany. Ich przeciwnikami nie byli bowiem posejdońscy żeglarze, smagli i żyłaści,

lecz złotowłosi, jasnoskórzy giganci zamieszkujący północne wybrzeża Atlantydy. A Atlantyda już od wielu księżyców spoglądała z obawą na północ.

Wyspa-kontynent miał w przybliżeniu kształt serca, rozciątego wzdłuż szlakiem wodnym biegnącym od wielkiej zatoki czy też wewnętrznego morza na północy, aż do jeziora położonego na samym południowym krańcu, trzydzieści mil od nadbrzeżnego miasta Posejdonii. Odkąd ludzie sięgali pamięcią, zawsze na północne wybrzeża napadali rudobrodzi olbrzymi, których czarne galery przyływały od skutych lodem krain, leżących za oceanem. Nazywano je *smoczymi łodziami*, a ich załogi tworzyli Wikingowie — morscy piraci, rabusie, pozostawiający tylko ruiny i zgliszcza wszędzie tam, gdzie przybiły do brzegu ich statki. Ostatnio krążyły pogłoski o wielkiej inwazji z północy. W tawernach i przy ogniskach mężczyźni ostrzyli miecze i przechwalali się swą odwagą.

Dwóch ludzi w tej pełnej gwaru gospodzie ścigało na siebie uważne spojrzenie Lycona. Pierwszy i brzydki, gruby osobnik — nosił brązową, workowatą szatę, tradycyjny strój kapłanów-druidów. Miał wielką, łysą czaszkę i żabią twarz. Druidzi, jak powiadano, posiadali wielką moc, a Lycon z przyzwyczajenia nie ufał żadnym kapłanom.

Oprócz druida zwracał na siebie uwagę brodaty olbrzym o wyraźnie sztucznie przyciemnionej cerze. Włosy też miał chyba farbowane, gdyż w świetle lamp pobłyskiwały błękitem. Lycon przesunął dłonią po rękojeści miecza. Chłodny dotyk metalu dodał mu odwagi. Grzmotnął pucharem o stół i zawołał o więcej wina.

— Co to za wodniste pomyje? — wrzasnął na oberżystę, zasuszonego starca w poplamionym fartuchu. — Dobrze dla kobiet albo dzieci. Przynies coś, co może pić mężczyzna, bo... bo...

Uspokoił się nagle i nie dopowiedział swej straszliwej groźby.

Bogowie — mruknął do siebie, gdy oberżysta się oddalił. — Co we mnie wlało? Ostatnie tygodnie zrobiły ze

mnie tchórza i niedługo zacznę podskakiwać na widok cienia.
Gdzież jest Elak, na Dziewięć Piekieł?

Rzucił na stół sztukę złota i podniósł ponownie napełniony puchar — pierwszy z wielu. W końcu niepokój i lęk przerodziły się w wojowniczość. Zauważył, że przygląda mu się brodaty olbrzym.

Dopił wino. odstawił energicznie puchar i — przewracając stół — zerwał się na nogi. Smagłe twarze gości odwróciły się ku niemu, czujne oczy błyszczały w świetle lamp.

Lycon był zwinny mimo swej otyłości. Przeskoczył stół i ruszył w stronę olbrzyma. Ten nie ruszał się z miejsca, odstawił jedynie kielich.

Lycon był naprawdę bardzo pijany. Zatrzymał się, by wyrwać z pochwy miecz, ten jednak zaklinował się, znacznie zmniejszając planowane groźne wrażenie. Lycon nie dał jednak za wygraną. Z pewnym wysiłkiem wyciągnął w końcu broń i machnął nią przez nos tamtego.

— Czy jestem psem? — spytał, mierząc przeciwnika wrogim spojrzeniem.

— Sam powinieneś wiedzieć — wzruszył ramionami brodacz.

— Znikaj stąd, nim poobcinam ci uszy tą twoją zabawką.

Lyconowi zapało dech, lecz po chwili wrócił mu dar wymowy.

— Nieprawy pomioście glisty! — warknął. — Wyciągaj miecz. Wytnę ci serce za te...

Wielkolud rozejrzał się szybko. Nie wyglądał na przestraszonego, był raczej zirytowany, jak gdyby Lycon przeszkodził mu w realizacji jakichś ważnych planów. Wstał jednak i sięgnął po miecz. Cmokając ze zdenerwowania podbiegł oberżysta, ściskając w rękę lewar do wyciągania szpuntów. Dostrzegłszy możliwość zażegnania kłótniom zamierzył się celując Lyconowi w głowę. Ten jednak zauważył jakiś podejrzany ruch. Uchylił się, odwrócił i poczuł, że ramię drętwieje mu od uderzenia. Klinga brodacza mierzyła wprost w jego gardło.

Nagle jakaś siła uderzyła Lycona i odepchnęła go w tył, gdy ostrze dotykało niemal skóry. Z wysiłkiem starał się odzyskać równowagę. Wreszcie stanął, oparty plecami o ścianę, z mieczem w dłoni... i zamarł w zdumieniu.

Elak powrócił w końcu. To on zepchnął Lycona z linii ciosu olbrzyma, a teraz klinga jego broni wśród błysków i migotania stale zderzała się z mieczem czarnobrodego. Śmiech Elaka sprawił, że w oczach jego przeciwnika pojawił się lęk. Oberżysta czaił się w pobliżu nie wypuszczając z dłoni szpuntociągu. Lycon pospiesznie złapał ciężki gąsior i rozbił mu na głowie. Kiedy tamten padł brocząc krwią, Lycon zajął się obserwowaniem walki?

Wielkolud cofał się przed błyskawicznymi atakami Elaka. Niewielu ludzi potrafiło wytrzymać niesamowitą szybkość, z jaką Elak używał swego miecza. Brodacz krwawił już z rany na czole.

— Stój! Zatrzymaj się, Elaku! — zawołał nagle.

Opuścił miecz, odsłaniając krtań, Elak także zniżył klingę. Szyderczy uśmiech wykrzywił jego wilczą twarz.

— Masz dość? — zapytał. — Jak na twoje rozmiary, nie wiele jest w tobie odwagi?

Olbrzym gmerał przy sznurowaniach swej tuniki. Nagle wyciągnął coś cienkiego i ciemnego, co owinęło mu się wokół ramienia, i rzucił tym w Elaka.

Rapier świsnął w powietrzu, lecz nie sięgnął celu. Elak zdołał odskoczyć, choć w ostatniej chwili, ciemny przedmiot przemknął obok niego i skręcił by uniknąć miecza Lycona. Na moment zawisł nieruchomo w powietrzu, a w gwarnej przed chwilą jeszcze tawernie zapanowała pełna zdumienia cisza.

Był to wąż — ale wąż skrzydlaty! — wąskie ciało, z którego wyrastały dwa żyłkowane, błoniaste skrzydła i trójkątna głowa z parą paciorkowatych oczu. Stwór unosił się przez chwilę, po czym runął w dół, szybki jak strzała.

Załomotały przewracane stoły i ławy, rozległ się tupot biegnących stóp. Niewiele brakowało, by pchnięcie Lycona przeszło jego przyjaciela. Skrzydlaty wąż odleciał nie-
tknię-

ty, lecz zdążył wbić zęby w ramię Elaka. Brązowa skóra kurty pociemniała, a w powietrzu rozszedł się odór zgnilizny.

— Na Bela! — stęknął Elak. — Nie mogę...

Nagle, jak spod ziemi, wyrosła przed nim krępa postać: druid, unosząc w górę potężne ramiona, własnym ciałem zasłaniał go przed atakiem. Elak chciał odsunąć go na bok, lecz zamarł zdumiony.

Ze wzniesionych dłoni druida, przyćmiewając żółte światło lamp, tryskały dwa strumienie bladego ognia. Wzdymały się przedziwnie, rosły, aż uleciały. Skrzydlaty wąż skręcił w powietrzu. Jego skrzydła drżały, lecz ogień nieubłaganie ściągał go do siebie. Migotliwe palce płomieni rozpościerały się i przeplatały bezgłośnie, aż utworzyły wirującą wokół stwora sferę. Blask skrył węża przed oczyma patrzących.

A potem przygasł szybko, zmniejszył się do rozmiarów lśniącego punktu... i znikł. A tam, gdzie przedtem był wąż i płomień, teraz nie było nic. Tylko szary pył opadał powoli na surowe deski podłogi.

2. Wikingowie w Cyrenie

— Tak giną wszyscy zdrajcy — oświadczył szorstko druid.

Powalony olbrzym leżał na roztrzaskanym stole, zwracając ku górze swą smagłą, brodatą twarz. Na jego czole czerwienił się pokryty pęcherzami krążek wypalanej skóry. Zanim Elak czy Lycon zdążyli się poruszyć, druid pochylił się nad konającym i szarpnął go za włosy.

—Kto cię przysłał? — warknął. Jego żabia twarz lśniła od potu. — Gadaj, psie, bo...

—Łaski! — jęknął ranny. Krew bluznęła mu z ust.

—Dam ci taką łaskę, że twoja dusza z wrzaskiem gnać będzie przez wszystkie Dziewięć Piekieł. Kto cię przysłał?

—Elf... — wycharczał mężczyzna. — On...

Druid odwrócił się, nie okazując śladu współczucia. Elak zmarszczył czoło widząc, że śmierć unieruchomiła zaszklone przerażeniem oczy olbrzyma.

—Elf? — powtórzył. — Znam to imię.

—Powinieneś — burknął druid. — Może znasz też i moje. Jestem Dalan. Chodźmy, nie ma czasu na rozmowy. Zaraz będą tu strażnicy.

Lycon cofnął się z wahaniem, lecz Elak chwycił go za ramię i popchnął śladem druida.

— Możemy mu zaufać — szepnął. — Słyszałem już o tym Dalanie. I myślę... — wykrzywił usta w uśmiechu — myślę, że będziemy przy nim bezpieczniejsi niż gdziekolwiek indziej .

Blady księżyc zawisł nad Atlantydą. Kryjąc się w cieniu trzech mężczyźni posuwali się ostrożnie wzdłuż nabrzeża. Raz schowali się w bramie, gdy przemaszerował obok oddział straży. W końcu Dalan wprowadził ich do niskiej chaty i starannie zarygłował drzwi. Zdjął latarnię z haka w ścianie i zanim postawił ją na stole z surowych desek, stojącym pośrodku pustego, mrocznego pomieszczenia, schylił się i podniósł klapę w podłodze.

—To na wypadek czegoś nieprzewidzianego — wyjaśnił.

—Sądzę jednak, że jesteśmy tu w miarę bezpieczni.

—O co tu chodzi, w imię Bela? — domagał się wyjaśnień Lycon. Działanie alkoholu ustawało z wolna, więc drżał lekko. Z wdzięcznością opadł na stołek, podsunięty przez druida. — Zabiłeś tę brodatą świnię? Skrzydlate węże... czarodziejskie ognie... czy w tej ruderze znajdzie się coś do picia?

—Będziesz potrzebował jasnego umysłu, by pojąć to, co chcę wam powiedzieć — odparł Dalan. — Jest w tym magia, to prawda, a w każdym razie wiedza, której nie rozumiecie. Zabiłem tego zdradzieckiego psa za pomocą siły, której my, druidowie, używamy od wieków. To władza nad ogniem. W taki sposób zniszczyłem posłańca Elfa.

—Tego węża? A kto to jest Elf?

Dalan spojrział posepnie na Elaka. Twarz tamtego była zasepiona i chłodna.

— Ten człowiek nic nie wie? — zapytał. — Nie mówiłeś mi o Cyrenie?

ELAK pokręcił głową.

— Ty mu opowiedz, Dalanie.

— Cyrena? — zdziwił się Lycon. Najdalej na północ wysunięte królestwo Atlantydy? Słyszałem, że panuje tam Orander, ale nic więcej nie wiem.

— Kilkanaście lat temu Cyreną rządził Norian — wyjaśnił druid. — Miał dwóch pasierbów, Orandera i Zeulasa.

Zeulas go zabił.

Elak poruszył się niespokojnie.

— Zeulas go zabił — powtórzył Dalan. — W uczciwej walce. Obaj zostali sprowokowani. Z tego powodu Zeulas, choć starszy, rzekł się korony. Opuścił Cyrenę i jako bezdomny tułacz ruszył na włóczęgę po Atlantydzie. Lycon obejrzał się i zdumiony spojrział na Elaka.

— Na Isztar! Nie chcesz chyba powiedzieć...

— On jest Zeulasem — oświadczył druid. — Jego brat, Orander, włada Cyreną. A raczej władał.

— Wikingowie? — zapytał Elak.

— Tak. Napadli na kraj korzystając z pomocy Elfa, czar-noksiężnika. Zawsze nienawidził twojego brata, który nigdy nie pozwoliłby mu korzystać ze swobody, potrzebnej mu do magicznych praktyk i składanie ofiar z ludzi. Zawarł więc pakt z Wikingami. Obiecał, że zniszczy Orandera w zamian za władzę i ofiary potrzebne mu do uprawiania nekromancji.

— Czy...? — Elak nie dokończył, lecz zimny blask zapłonął w jego oczach.

— Nie mógł zabić Orandera. Moje czary są na to zbyt potężne. Ale schwytał go i teraz armie Cyreny pozostały bez przywódcy. Wodzowie kłócą się i walczą między sobą, a Wikingowie wybijają ich wedle swej woli.

Lycon, już prawie trzeźwy, zaklął straszliwie.

— Twoje królestwo, Elaku? Twoje królestwo? A Wikingowie i ten śmierdzący czarownik tam rządzą? Dalanie! — wstał, chwając się lekko. — Jutro ruszmy na północ.

Nie, jeszcze dziś w nocy. Poderżnę gardło temu Elfowi jak świni.

Elak siłą usadził go z powrotem.

— Zaczekaj, Dalanie, czy chcesz, bym wrócił do Cyreny, żeby poprowadzić wojska przeciwko Wikingom?

Druid skinął głową.

—Po to przybyłem. Elf zaskoczył mnie i schwytał twego brata w niewolę. Jeśli jednak ruszysz na północ, dasz Cyrenie wodza, którego ona potrzebuje. Moje czary ci pomogą.

—Uwolnić Orandera?

—Tak. I zniszczyć Elfa, i przepędzić z Północy najeźdźców! — Gniew wykrzywił żabią twarz Dalana. — Oni bezczeszczą ołtarze druidów, wieszają na krzyżach naszych kapłanów! Oddają cześć Lokiemu, Thorowi i Odynowi, demonom z najczarniejszych otchłani! I czczą także złych bogów Elfa! Na Midera! — Dalan wykonał dłonią niezwykle gest, kiedy wezwał imienia największego bóstwa druidów — pojedziesz! Musisz pojechać, Zeulasie... Elaku... czy jakkolwiek każesz się teraz nazywać.

Elak wstał.

—Pojadę! Przysięgłem nigdy nie wracać do Cyreny, lecz sytuacja zmusza mnie do tego.

—A ja z tobą — wtrącił Lycon. — W lasach przyda ci się dobry miecz. Do Cyreny droga daleka.

—Dobrze — Dalan położył Lyconowi na ramieniu swą ciężką dłoń. — Masz dość odwagi. Będzie ci potrzebna.

Ale nie pojedziemy drogą przez lasy. Patrzcie.

Pochylił się i kawałkiem węgla drzewnego nakreślił na blacie stołu prymitywną mapę.

— Jesteśmy tutaj, w Posejdonii. Wyruszymy w głąb lądu i po trzydziestu milach dotrzemy do Jeziora Centralnego, gdzie czeka mój statek. Potem popłyniemy rzeką na północ,

przez serce Atlantydy, aż do Morza Wewnętrznego, które graniczy z Cyreną. Będziemy płynąć z prądem, a moi wiosłarze są silni. A wyruszamy...? — Lycon był pełen zapału.

— Jutro o świcie. Zostaniecie tu ze mną na noc.

Elak zawahał się.

—Dalenie, być może już tu nie wrócimy. A ja obiecałem... no, jest dziewczyna, z którą muszę się zobaczyć dziś w nocy.

—Velia? — spytał Lycon. — Żona księcia Garnicora? Myślałem, że masz jej już dosyć. A przy okazji, co cię dzisiaj zatrzymało?

—Jej pocałunki — wyznał szczerze Elak. — Obiecałem, że spotkam się z nią, zanim opuszczę Posejdonię.

—Strażnicy... — mruknął Dalan.

—Potrafię ich unikać.

—A ten człowiek, którego zabiłem dzisiaj w tawernie? A posłaniec Elfa? Powtarzam ci, Zeulasie czy też Elaku, Elf boi się ciebie. Wie, że przybyłem do Posejdonii tylko po to, żeby sprowadzić cię na północ, byś stanął przeciw niemu. Wie też, że jeśli zginiesz, Wikingowie nie napotkają oporu i zaleją Cyrenę. Nie tylko ludzie z północy mu służą. Są inni: zdrajcy, regenci...

—Muszę zobaczyć Velię — powtórzył z uporem Elak i ruszył do drzwi.

—Stój! — potężna dłoń Dalana zawróciła go w miejscu.

— Nie warto podejmować zbędnego ryzyka. Ruszymy dzisiaj, a po drodze możesz wpaść do tej dziewczki po całusa czy dwa. Lecz będziesz głupcem, jeśli to uczynisz.

—Nie pierwszy raz kobieta robi z niego głupca — wyszczerzył zęby Lycon. — Ale Dalan ma rację. Lepiej będzie, jeśli zaraz opuścimy Posejdonię. W lesie poczuję się bezpieczniej.

Elak wzruszył ramionami. Odczekał, aż druid zetrze ze stołu mapę, po czym wszyscy trzej wyszli na zalaną księżycowym światłem aleję.

Pałac Księcia Garnicora połyskując bielą wznosił się nad Posejdonią. Ze wszystkich stron otaczał go las, jedynie od południowego wschodu, aż po zamglony horyzont rozciągał się ocean. Lycon i Dalan, skryci w cieniu bramy, oczekiwali na powrót swego towarzysza.

Elak zwinnie przeszedł przez mur, po czym bezszelestnie przemknął alejkami pełnego kwiatów ogrodu aż do altanki pod oknem Velii. Często pokonywał tę trasę, a tym razem także nie napotkał żadnych trudności. Dziewczyna wyszła na balkon, gdy tylko cicho wymówił jej imię. Milczał przez chwilę, podziwiając jej jasną postać oblaną księżycowym blaskiem. Przejrzysta szata skrywała niewiele i Velia wyglądała jak okryty muślinem bursztynowy posąg. Rozpuszczone złote włosy okalały owalną, dziecięcą twarz, a jasne oczy spoglądały na niego pytająco. Bez słowa przytulił ją do siebie.

— Wyjeżdżam z Posejdonii — rzekł wreszcie. — Przez pewien czas chyba nie będę mógł cię widywać.

Przyłgnęła do niego całym ciałem.

— Elaku, tak bym chciała... pojechać z tobą.

— Nie. Musisz...

— Pojadę. Nie potrafiłabym zostać tu, z Garnicorem. To bestia, Elaku, demon. Wiesz, że kupił mnie od mojego ojca. Jestem dla niego niemal niewolnicą. Ja... zabiłabym się, gdybym cię nie spotkała.

— Nie bądź głupia — burknął Elak. — Z czasem do niego przywykniesz. Chociaż, na Isztar, jego gęba nadaje się do straszenia dzieci. No cóż...

— Jesteś przynajmniej szczery, włóczęgo — odezwał się obcy głos. — A będziesz jeszcze bardziej, kiedy przywiążę cię do koła z tą ladacznicą u boku!

Elak puścił dziewczynę i odwróciwszy się, stanął twarzą w twarz z człowiekiem, który wychynawszy z cienia pojawił się na balkonie. Książę Garnicor odsłaniał w uśmiechu pożółkłe plamiste zęby. Siwiejąca rzadka broda okalała jego twarz. W jedwabiach i atłasach wyglądał zupełnie nie-

sownie — jak wielka mała w pożyczonych szatach. Przekrwione, małe oczka spoglądały na Elaka z płytkich oczodołów.

— Tchórzliwy psie! — ryknął książę wznosząc sztylet. — Kiedy z tobą skończę, t w o j a gęba będzie się nadawać do straszenia żołnierzy.

Z dołu, z ogrodu, dobiegł szczęk zbroi i tupot nóg.

3. Przez Czarny Las

Książę Garnicor znalazł się przy przeciwniku, zanim ten zdążył wydobyc rapier. Elak próbował uchylić się przed ciosem, poczuł jednak, jak ostrze sztyletu rozdziera mu ciało i ześlizguje się po żebrach. Zachowując groźne milczenie zwarł się z napastnikiem.

Garnicor wzniosł w górę zakrwawione ostrze, lecz Velia chwyciła go za rękę, zanim zdążył zadać cios. Książę próbował wyrwać broń, lecz dziewczyna pochyliła się i wbiła zęby w jego owłosione ramię. Zaklął, lecz wypuścił sztylet, który brzęknął o balustradę i spadł w dół, do ogrodu.

Ktoś wspinał się w górę po kracie altany. Elak wysliznął się z uścisku Garnicora i muskularnymi ramionami oplótł mu kolana. Błyskawicznie szarpnął w tył i w górę, a jego przeciwnik runął przez marmurową poręcz w cień zalegający ogród. Krzyk trwogi i szelest liści powodziły mu o strażniku, zrzuconym przez spadające ciało księcia.

Szybko pochwycił dłoń Velii.

— Chodźmy! — rzucił i pociągnął ją do wnętrza komnaty. Rozejrzał się pospiesznie. Wrogowie nie czekali na nich — widocznie książę był sam, jeżeli nie liczyć jego ludzi w ogrodzie.

Teraz Velia przejęła inicjatywę.

— Znam pałac — oznajmiła. — Jest tu jedno wyjście, o którym Garnicor mógł zapomnieć. - Jeżeli nie ma tam straży...

Pobiegli przez pogrążone w półmroku korytarze, mijając wiszące na ścianach skóry i posępne gobeliny. Z tyłu słyszeli ściśnione odległością krzyki pogoni. Wpadli w wąski korytarz, zbiegli spiralnymi schodami w dół...

Elak dopadł ciężkich, żelaznych drzwi i otworzył je jednym szarpnięciem. Ktoś zagroził mu drogę, zaskoczony, lecz groźny, w świetle księżyca błysnęła zbroja. Wąskie ostrze miecza zagłębiło się w ciele, krew bluznęła z przebitej krtani i strażnik charcząc osunął się na ziemię. Przeskoczyli nad jego ciałem i wbiegli do ogrodu.

Miecze rzucały zimne błyski, cienie otoczyły uciekających. Elak dostrzegł wykrzykującego rozkazy Gernicora ze straszną, zakrwawioną twarzą i zwisającą bezwładnie ręką. Mieli jednak przewagę zaskoczenia i bez większych przeszkód zdołali dotrzeć do bramy. Ku ich zdziwieniu była otwarta. Elak popchnął Velię i odwrócił się. Ściągający byli tuż za nimi.

Nagle potężne ramiona pochwyciły go i przeciągnęły przez bramę. Szczęknęło żelazo. Pomiedzy nim a żołnierzami pojawiła się na moment szeroka postać Dalana, a potem, bez żadnego ostrzeżenia, z ziemi trysnął ogień. Płomienie wydłużały się i poszerzały, zalewając przejście czerwonym blaskiem. Druid odwrócił się.

— To ich zatrzyma — powiedział. — Przynajmniej na ja kiś czas. Teraz szybko!

Z cienia wynurzył się Lycon i cała czwórka pobiegła w mrok, by w pobliskiej kępie drzew znaleźć schronienie, zanim Gernicor wpadnie na pomysł użycia łuków. Kiedy bez tchu wpadli pomiędzy zbawcze pnie, od strony pałacu dobiegł groźny ryk i wrzawa wielu głosów. Ze wzgórza spływał błyszczący strumień zbroi.

— Jest więcej niż jedna brama — mruknął Elak. — Będziemy walczyć czy uciekać?

— Uciekać — poradził Lycon. — Zostanę tutaj i powstrzymam ich chociaż na chwilę. Możecie...

— Chodźcie — szepnął druid. — Znam las. Idźcie za mną, a nigdy nas nie znajdą. Ty też, Lyconie.

Pobiegli. Mimo swej potężnej figury Dalan niby cień pomykał pomiędzy drzewami, każdy krzew i krzak wykorzystując do osłony. Wreszcie odgłosy pogoni ścichły w oddali. Wtedy dopiero zatrzymał się i otarł pot z brzydkiej twarzy.

— Żaden wróg nie doścignie druida w lesie — oświadczył. — Jeżeli będzie trzeba, nasze czary sprawią, że same drzewa ruszą przeciwko nim.

Elak mruknął coś powątpiewająco.

— No cóż — stwierdził. — Jak widać nie bez powodu wplątałem nas w tę historię. Velia pójdzie z nami. Nie zostawię jej samej. Garnicor obedrze ją żywcem ze skóry.

Dziewczyna przysunęła się bliżej i Elak opasał ramieniem jej szczupłą talię.

— To żaden kłopot — rzekł Lycon mierząc ją spojrzeniem. — Mój miecz jest na twoje rozkazy, pani.

Velia podziękowała mu wzrokiem i Lycon wyraźnie urósł. Za to twarz Elaka nie wyrażała przesadnej serdeczności.

— Chodźmy już — powiedział. — Przed nami długi marsz, nim dotrzemy do Jeziora Centralnego i do twojego statku, Dalanie.

Druid skinął głowę i ruszył pierwszy. Szli za nim przez zalany księżycowym światłem las...

Księżyc zaszedł, lecz Dalan prowadził ich pewnie nawet przy słabym blasku gwiazd, gdzie pogubiliby się na pewno, gdyby nie trzymali się za ręce. Z ciemności dobiegały niezwykle głośno, nawoływania ptaków i szelest liści. Raz zadrżał grunt od stąpania jakiejś olbrzymiej bestii, która przeszła obok nich niezauważona. A raz Elak przebił mieczem wielkiego jak dłoń pająka, który pluł jadem na dziesięć stóp dookoła, zanim w końcu zdechł.

O świcie dotarli nad Jezioro Centralne — zimnoniebieski obszar wód, których głębi nikt dotąd nie zbadał. Po powierzchni ciągnęły się pasy akwamarynu, szafiru i ciemnego błękitu, a przy brzegu, niedaleko nich, kołysała się na kotwicy długa galera ze zwiniętymi żaglami. Czekala.

Piach chrząścił im pod stopami, gdy biegli w stronę wody. Dalan krzychał przez zwinięte dłonie, póki od statku nie odbiła niewielka łódź i nie skierowała się do brzegu.

— Doszliśmy w końcu — stwierdził z satysfakcją Lycon.

— O, moje biedne nogi.

Usiadł i zaczął masować je delikatnie. Jego sandały miała na nogach Velia, której zwiewny strój zwisał w strzępach, porozdzierany przez ciernie i gałęzie. Dziewczyna zrzuciła obuwie, zsunęła z siebie resztki ubrania i wbiegła do jeziora śmiejąc się, gdy przyjemnie chłodna woda pieściła jej obolałe mięśnie.

Lycon patrzył na nią z zazdrością.

— Też bym tak zrobił — stwierdził. — Ale nie ma czasu.

Zresztą parę wiader na pokładzie wystarczy w zupełności. Jest już łódź.

Przy wiosłach siedzieli dwaj mężczyźni. Dalan powitał ich pospiesznie i wszedł na pokład, jego brązowa szata trzepotała na wietrze. Pozostali poszli w jego ślady: Lycon, Elak i Velia, która po kilku bezowocnych próbach zrezygnowała z doprowadzenia swego stroju do porządku, zadowalając się krótką spódniczką.

— Można pływać wzdłuż brzegu — ostrzegł ją druid — ale nie dalej, gdzie woda jest głębsza. To jezioro sięga

chyba do samego piekła, a pod jego powierzchnią żyją diabły.

Lycon rozejrzał się z zaciekawieniem. Wyraźnie rozczarowany tym, że żaden diabeł się nie pojawił, zaczął polerować ostrze swego miecza.

Pod pokładem galery czekali rozciągnięci na ławach krzepcy wiosłarze. Nie byli niewolnikami, gdyż nie przykutych do wiosła. Jeszcze wspinając się na pokład Dalan rzucił komendę. Zdyscyplinowani ludzie natychmiast zajęli miejsca i chwycili wiosła. Strojny w złoty kołnierz wysoki mężczyzna wszedł na platformę, machnął ręką i krzyknął.

Wiosła opadły i rozcięły błękitne wody Jeziora Centralnego. Galera pomknęła na północ.

Na północ, do Cyreny!

4. Moc czarnoksiężnika

Wiosła, poruszane mocnymi ramionami, pchały galerę na północ, tam gdzie brzegi jeziora zbiegały się w rzekę rozcinającą serce Atlantydy, pędzącą między granitowymi urwiskami, rozlewającą się szeroko wśród słonecznych równin, coraz szybciej i szybciej płynącą w stronę Morza Wewnętrznego i Cyreny. Dni podróży zdawały się Elakowi i Velii najszcześniejszym okresem ich życia. Lycon za to dzielił swój czas między pijaństwo i kłótnie z nadzorcą na temat nawigacji, o której nie miał pojęcia. Jedyne nad Dalanem zawisł cień, gęstniejący w miarę jak posuwali się na północ. Rozwinięte żagle zwisały beзуżytecznie, mimo że każdej nocy na południu zbierały się burzowe chmury. W końcu druid wezwał Elaka do swej kabiny.

— Elf rzuca czary — oznajmił ponuro. — Księżę Garnicora nie zrezygnował z pogoni. Płynie za nami, a zaklęcia Elfa mu pomagają.

Elak gwizdnął przez zęby.

— To niedobrze. Skąd wiesz?

Dalan uniósł z podstawki ciemną zasłonę, błysnęło światło odbite od kryształowej kuli wielkości ludzkiej głowy.

— Spójrz — powiedział. — Dowiedziałem się o tym kilka dni temu.

Z początku Elak widział jedynie przejrzystą głębię kryształu, która stopniowo, bardzo powoli, zachodziła mgłą. Przed jego oczami przemknęły jaskrawe wizerunki, niewyraźny ciąg barw: galera z żaglami wypełnionymi wiatrem, pędząca pomiędzy brzegami, które — pamiętał dobrze — mijali zaledwie wczoraj. Podniósł głowę.

— Wiatr? Przecież nasze żagle...

— Cisza postępuje za naszą galerą, lecz czary Elfa pędzą statek Garnicora. Jesteśmy jednak już prawie na Morzu Wewnętrznym i... Zaczekaj!

Coś działo się we wnętrzu kryształu. Wyraźnie dotąd wi-

doczny obraz zadrżał, zafalował niby odbicie w wodzie, zaszedł mgłą, rozpułnął się, przemienił... I w kuli pojawiła się twarz — twarz młodzieńca, okrągła, jakby jeszcze dziecinna. Na Elaka spoglądały niewinne, niebieskie oczy, miękkie, jasne włosy opadały na ramiona. A przecież mimo szczerości tego spokojnego spojrzenia wyczuwał mordercze zło czające się w błękicie oczu, czarną grozę niepasującą do tej pięknej twarzy.

— Miderze! — warknął druid. — To Elf. Obserwuje nas. On...

Młodzieniec rozchylił w słodkim uśmiechu swe czerwone wargi. Dalan zbliżył twarz do kryształu.

— Elfie! — ryknął. — Słuchaj! Posłuchaj mnie, ty cuchnący, diabelski pomioście! Cała twoja plugawa magia nie zdoła odepchnąć mnie od Cyreny, ani mnie, ani człowieka, którego ze sobą prowadzę! Powtórz to Guthrumowi! Niech się modli do Odyńa i Thora, a ja wdeptę w ziemię ich twarze tak, jak wdeptuję twoją!

Wytrwale, zawzięcie i strasznie przeklinał czarnoksiężnika, a Elak przyglądał się, zafascynowany. Z twarzy Elfa nie unikał uśmiech. Kryształ pociemniał, zaszedł mgłą i znów stał się przezroczysty, zanim Dalan dokończył swą tyradę. Spocony, otarł tłustą twarz.

—No, teraz widziałeś Elfa. Pierwszy raz, co?

Elak przytaknął.

—I co o nim sądzisz?

—Ja... właściwie nie wiem. To on trzyma w niewoli mojego brata?

—Tak, on ma Orandera. A Guthrum, król Wikingów, robi wszystko, co on mu każe. Ty musisz się zmierzyć z Guthrumem, Elaku, a ja z Elfem. A galera Garnicora zbliża się szybko.

— Nie rozumiem, czemu się go obawiasz — zdziwił się Elak. — Twoja moc...

— Jest ograniczona. A jeden Mider wie, jakie zaklęcia wspomagają Garnicora. Widzisz tę burzę? — skinął ręką

w kierunku okna. Od południa napływały ciemne chmury. — Tam są wszystkie wichry piekieł... A mimo to nasze żagle zwi-
sają martwo, bez śladu bryzy. Patrz. Spojrzał na północ.

— Widzisz ten daleki ląd? To wyspa Krenos. Lepiej omi-
jać ją z daleka. Przepłyniemy obok niej, do Cyreny. Sądzę
jednak, że wcześniej dogoni nas Garnicor.

Dalan miał rację. Długa galera księcia pędziła tuż przed burzą
i w pobliżu południowego przylądka Krenos oba statki spotkały
się.

— Jedno przemawia na naszą korzyść stwierdził Dalan rozda-
jąc wiosłarzom broń. — Oni mają u wiosł niewolników, a u
nas są ludzie wolni i to wojownicy. Są z Cyreny i nie będą
prosić o łaskę. Ale nie mamy załogi bojowej, a Garnicor ma.

— To moja wina — powiedział markotnie Elak. — Gdybym
nie pociągnął księcia naszym śladem...

— Zapomnij o tym — Lycon wytoczył się spod pokładu z mie-
czem w dłoni, roztaczając wokół silny zapach alkoholu. —

Powiesimy tego psa za nogi na jego własnym maszcie. A poza
tym Velia to dziewczyna, o którą warto walczyć, na Iszta!

Velia, w luźnej tunice wyglądająca na szczupłego chłopca, ro-
zeźmiała się wesoło.

— Dzięki, Lyconie. Przynajmniej nie będę musiała wracać do
Garnicora. Tutaj można zginąć na wiele sposobów i to zginąć
szybko.

— Nie myśl o tym — wtrącił Elak. — Choć sądzą, że masz ra-
cję. Trudno cieszyć się życiem, gdy jest się obdartym ze skó-
ry. A to ulubiona tortura księcia.

Niebo pociemniało, uderzył wiatr. Załoga, wszyscy z mie-
czami u boków, pochylała się nad wiosłami. Na statku Gar-
nicora zrzucano żagiel, lecz podwójny rząd wiosł szybko pchał ga-
lerę do przodu.

— Chcą taranować — mruknął Dalan. — Ale do tej gry
trzeba dwóch graczy. Przygotować się.

Wśród huku wichru krzykiem wydał komendę. Wiosła uniosły się, statek zawrócił, wręgi zatrzeszczały i jęknęły, gdy obie galery niemal zderzyły się dziobami.

— W górę wiosła! — ryknął Dalan. — Rzucić haki!

Miał zamiar unieruchomić galerę Garnicora łamiąc jeden rząd jej wiosła, lecz spóźnił się. Tuzin haków wyleciało w górę, łańcuchy napięły się spinając statki razem — i przez burtę przelała się fala wrzeszczących, żądnych krwi ludzi.

— Idź do kajuty — polecił Elak Velii, ona jednak nie zważała na jego słowa. Z mieczem w dłoni spokojnie stała u jego boku. Po obu stronach mieli Lycona i Dalana. wiosłarze chwycili za broń i zwarli się z napastnikami. Klingi błyskały oślepiająco.

— Zostań tu, Lyconie — rozkazał nagle Elak. — Pilnuj Velii.

Skoczył pomiędzy walczących. Poleciało kilka strzał, lecz galera kołysała się i zanurzała uniemożliwiając dokładne celowanie. Wiatr dał coraz mocniej, coraz ciemniejsze było niebo.

— Elaku, uważaj! — rozległ się krzyk Lycona.

Elak uchylił się przed uderzeniem, spadającym jakby z nieba. Zobaczył wyszczerzoną, śniadą twarz, ostrze jego miecza zatańczyło, zamigotało oślepiająco i napastnik runął na pokład plując krwią. Elak dostrzegł Garnicora, który przebiegał się ku niemu przeklinając wściekle.

Oba statki huśtały się i kołysały na falach. Kątem oka Elak dostrzegł błysk ognia — to walczył Dalan i jego czary przewały szalę. Ludzie zdolni są stawić czoła chłodnej stali, lecz nie płomieniom, które szaleją w powietrzu pozostawiając po sobie popalone trupy. Walka przeniosła się na burty, a potem dalej, na galerę Garnicora. Tam też znalazł się książę i Elak, który jak przez mgłę usłyszał tryumfalny ryk Dalana, wysoki krzyk Velii...

Katastrofa nadeszła bez ostrzeżenia: uderzenie dzikiego, lodowatego wichru, powietrzny wir, który runął na statki, oderwał je od siebie i pchnął na rozszalałe wody. Elak zoba-

czył oddalającą się coraz bardziej galeryę Dalana, usłyszał tryumfalny wrzask Garnicora i dostrzegł, jak księżę rzuca się ku niemu. Napiął mięśnie, skoczył i dopiero w powietrzu zdał sobie sprawę, że odległość jest zbyt duża.

Słona woda wdarła mu się w nozdrza, dusił się. Desperacko ściskając miecz szedł w dół jak kamień. Potem z najwyższym wysiłkiem płynął w górę, w stronę niewyraźnego, mglistozielonego blasku. Udało mu się nie zachłysnąć. Pochwycił kawałek wiośła, unoszący się w zasięgu ręki i zdołał jakoś utrzymać się na powierzchni, wśród szaleństwa pędzonych wichrem fal. W końcu jednak objęła go ciemność i zapadł pomiędzy cienie.

Cienie te szeptały do niego szyderczo — niewyraźne sylwetki o błękitnych oczach Elfa, pędzące przed siebie w tajemnych misjach... niejasne wizje, niezwykle i czarodziejskie... i twarze: Velii, Lycona, Dalana, niespokojne i zalęknione. Szukali go. Wiedział o tym i próbował przesłać im wiadomość, lecz sny rozwiały się i zniknęły...

5. Mieszkańcy wyspy

Budził się wolno, ze świadomością tępego bólu w piersi. Otworzył piekące powieki i zobaczył kłębiące się na szarym niebie chmury. Nie opodał fale z cichym szumem obmywały piasek plaży. Spróbował usiąść i stwierdził, że ma związane ręce.

Rozejrzał się. Otaczały go wysokie urwiska, monolityczne widma zwieszające się ze wszystkich stron. Tylko dojście od morza było otwarte. Cień ruchu zwrócił jego uwagę na skalną płytę, wznoszącą się o dwadzieścia stóp nad nim. Była tam wąska szczelina i właśnie wyszedł z niej człowiek.

Elak zadrżał mimo woli — przed nim stał Pikt, przedstawiciel legendarnej niemal rasy, która władała tym łądem tak wiele wieków temu, że dziś samo jej istnienie zostało niemal doszczętnie zapomniane. Biali ludzie ze wschodu walczyli

z Piktami i mordowali ich bez litości. Tutaj, na wyspie Krenos, żyły prawdopodobnie ostatnie niedobitki, tego ludu.

Mężczyzna był ciemnoskóry, bardzo niski — ledwie pięć stóp wzrostu — i całkiem bezwłosy. Nawet osłaniające blade oczy powieki pozbawione były rzęs. Miał na sobie tylko przepaskę biodrową, a pod gładką skórą grały potężne mięśnie. Rysy twarzy były — w jakiś nie do określenia sposób — zwierzęce i Elak wspomniał legendy głoszące, iż Piktowie byli najbliżzej spokrewnieni ze zwierzętami, że byli pierwszymi istotami, które osiągnęły prawdziwie ludzkie kształty i dysponowały mocami utraconymi przez pochodzących z wyższych stadiów ewolucji.

Pikt, z nożem w ręku, pochylił się nad jeńcem. Głos miał niski i gardłowy, tak że Elak z trudem rozróżniał wypowiedane przez tamtego słowa.

— Wstawaj, cudzoziemcze. Powoli.

Elak wstał z pewnym wysiłkiem, starając się nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Z żalem zauważył, że jego miecz przepadł i że nogi także ma skrępowane rzemieniem.

Pikt popchnął go w stronę szczeliny w skale, która w miarę jak posuwali się w głąb, była coraz węższa i jego szerokie ramiona raz po raz ocierały się o ściany. Potem znów się poszerzyła, gdy zaczęli schodzić w dół. Elak rozważał możliwość nagłego ataku na strażnika, lecz związany i bez broni mógłby jedynie zginąć. Poczul pod nogami niewidoczne w głębokiej ciemności stopnie.

— Uważaj — usłyszał chrapliwy głos Pikta. — Nie za szybko.

Posłusznie zwolnił kroku. W przedzie zajaśniała smuga światła, rozszerzyła się — i zobaczył wyrąbany w litej skale korytarz.

Miał jakieś dwieście stóp długości, a oświetlały go płonące we wnękach brązowe lampy. Z jednej strony monotonię szarej skały przełamywał rząd żelaznych drzwi z zakratowanymi okienkami, z drugiej był tylko grubo ociosany kamień. Elak zatrzymał się.

Sztylet Pikta dotknął skóry na karku jeńca. Elak obejrzał się i zobaczył dwóch innych karłów z dłuższymi od siebie mieczami, stojących za plecami pierwszego. Wszyscy trzej byli tacy sami, bezwłosi i ciemnoskórzy.

Pozwolił, by szturchańcami pognali go przez korytarz. Za żelaznymi drzwiami widział jeńców, Atlantydów, czasem w skórzanych tunikach i zbrojach, czasem okrytych tylko futrami. Zwrócone ku niemu twarze wyrażały lęk tak silny, że nikt nie śmiało odezwać się głośno. Ludzie szeptem przeklinali Piktów, a karły uśmiechały się ironicznie. Złośliwa radość błyszczała w ich zimnych oczach.

Zatrzymali się przy końcu tunelu. Pierwszy Pikt skinął ręką i jeden z jego towarzyszy podniósł wielką, żelazną sztabę. Drzwi otworzyły się i Elaka wepchnięto do celi.

Szczęknięty metal — sztaba opadła na miejsce. Wykuta w litej skale cela była pusta, lecz w przeciwległej ścianie znajdowały się jeszcze jedne drzwi — żelazna płyta o równej, gładkiej powierzchni.

Usłyszał, jak Piktowie oddalają się bez pośpiechu. A żelazna płyta bardzo powoli zaczęła uchylać się do wewnątrz.

Przez powstały otwór do celi wczółgał się jakiś człowiek. Podarty kaftan okrywał jego wychudzone ciało, złote włosy Okalały zbolałą twarz. Puste oczy zaszkłone były mgiełką smutku, a z wykrzywionych ust ściekała strużka śliny. Za plecami obcego drzwi zamknęły się bezszelestnie. Elak skoczył naprzód, lecz zdążył zobaczyć tylko kawałek mrocznego korytarza. Nic więcej.

Mężczyzna skulił się w kącie, drżał i pojękiwał cicho. Elak przyjrzał mu się ze współczuciem.

—Kim jesteś? — spytał. — Rozumiesz mnie?

—Tak... tak, rozumiem. Cień zabrał Halfgara, mojego syna. Cień w sadzawce...

Rozpacz i strach wykrzywiły brodatą twarz. Elak zerknął w stronę zamkniętych tajemniczym sposobem drzwi. O co chodziło z tym... Cieniem?

Mężczyzna spojrział na Elaka ze smutkiem.

— Mag Elf oddał mnie Piktom. Mój syn, Halfgar, trafił tu razem ze mną, bo walczył przy moim boku z ludźmi Elfa.

Oni...

Elak pochylił się nad nim.

—Elf? Więc te karły, Piktowie, go znają?

—Tak. Służą mu. Uczą go czarów, a w zamian on daje im silnych mężczyzn, których składają w ofierze swoim bogom. Od wieków żyją na Krenos i czczą... — głos obcego opadł do niewyraźnego szeptu, w oczach błysnęło szaleństwo. — Cień zabrał mojego syna. Drzwi otworzyły się i wszedłem w korytarz gdzie była sadzawka. Zobaczyłem pod sobą wodę, na którą padał Cień. Skoczył na mnie, a gdy się cofałem, dotknął mnie. Nie był głodny.

Właśnie pochłoniął mojego syna... zabrał mi go, gdy spałem... są drzwi, których nie powinno się otwierać...

Szept ucichł. Oczy mężczyzny rozszerzyły się. Skoczył na równe nogi, połamanymi paznokciami rozdrapywał swą pierś wyrywając długie pasma mięsa i skóry. Krzyknął, straszliwy, rozdzierający uszy wrzask odbił się echem od ścian celi. Potem upadł, bezwładny kłębek w kącie podłogi. Brodata twarz spoglądała w górę niewidzącymi oczyma. Elak zrozumiał, że przybysz nie żyje.

Obejrzał się, słysząc cichy szelest. Powoli, bardzo powoli otwierały się żelazne drzwi. Ze strony Niewiadomego, leżącego za portalem, wpadało do celi mgliste, szare światło.

Usłyszał plusk wody...

Czarna galera Dalana leżała wyciągnięta na brzeg wyspy Krenos, okaleczona i uszkodzona przez burzę. Wicher, który rzucił okręt na piasek, pognął statek Garnicora na północ, gdzie ów znikł na horyzoncie. Wioślarze zajęli się uszczelnianiem spojeń kadłuba i naprawą zniszczeń, Dalan zaś w swej kajucie pochylał się nad kryształową kulą. Głębokie zmarszczki znaczyły mu czoło. Velia i Lycon stali obok. Wpatrzeni w kulę obserwowali przemykające w jej głębi obrazy.

—Czary Elfa są potężne — mruknął druid. — Zmaga się ze mną na każdym kroku. Mimo to...

—Czy Elak żyje? — spytała niespokojnie Velia. — Czemu nie chcesz powiedzieć?

—Bo nie wiem. Ciszej, dziewczyno. Zaklęcia Elfa ścierają się z moimi i niczego nie widzę... na razie.

Zajrzał w połyskującą kulę. Lycon ścisnął Velię za ramię, próbując dodać jej otuchy. Nagle Dalan odetchnął z ulgą.

— A jednak! Żyje, widzicie?

W kryształce pojawił się obraz, maleńki wizerunek plaży otoczonej strzelającymi w niebo szarymi skałami. Pod jedną z nich leżał człowiek, związany i nieprzytomny.

—Chwała niech będzie Isztar! — zawołał Lycon. — Czy to daleko? Pójdę po niego.

—Czekaj! — przerwał mu druid. — Znam tę plażę. Sprzymierzeńcy Elfa, Piktowie, mają tam podziemną świątynię i... popatrzcie!

Velia krzyknęła cicho. W kryształce coś się poruszyło: jakiś człowiek wynurzył się ze szczeliny w skale i podszedł do rozciągniętego na piachu Elaka. Przyglądali się, jak poszturchując jeńca każe mu wstać i prowadzi w ciemność. Na chwilę głęboka czerń wypełniła kulę, potem rozjaśniła się odsłaniając długi, wykuty w skale korytarz. Trzech ciemnoskórych karłów popychało Elaka naprzód.

—Miderze! — odezwał się martwym głosem Dalan. — Jest w świątyni. To znaczy, że ma być złożony w ofierze...

—Nigdy, dopóki żyję! — warknął Lycon. — Jak daleko stąd do tej świątyni? Załoga ma broń i umie się nią posługiwać. Powiedz, w którą to stronę, Dalanie, na północ czy na południe? — Stał w drzwiach i z groźnym uśmiechem gładził rękojeść miecza. — Powyrzynam te diabły.

-Dobrze. Ruszaj na południe, Lyconie, i to jak naj-
szybciej. Poznasz to miejsce?

—Poznam. Daleko to?

—Pół godziny marszu, jeśli się pospieszycie — druid

obejrzał się na kulę. — Ja zostanę tutaj. Ty musisz pokonać Piktów, lecz ja walczę z Elfem. I... — nagle jego wielkie dłonie chwyciły kryształ. — Prędko, Lyconie. Elak jest w niebezpieczeństwie... śmiertelnym niebezpieczeństwie!

Lycon pchnął drzwi i skoczył na pokład. Jego przenikliwy głos rozdarł ciszę poranka. Marynarze zerwali się na nogi. Porzucając wiosła i młoty chwycili miecze i topory i przez reling zeskakiwali na piasek. Pólnadzy, o dzikim wyglądzie, pobiegli na południe poganiani przekleństwami Lycona i płazami jego klingi.

Wraz z nimi biegła Velia, cały czas u boku Lycona. W jej oczach płonęła bitewna gorączka, groźny uśmiech wykrzywił wargi. Gnali tak szybko, że dotarli na miejsce, zanim upłynęło pół godziny, wyznaczone przez Dalana. Lycon rozpoznał ryse w skale i zatrzymał ludzi, wysuwając się na czoło.

Czuł dziwny dreszcz niepokoju, gdy z nagim mieczem w ręku wstępował w ciemność starając się przebić wzrokiem mrok. Coś się poruszyło, więc ciął mieczem przeciwnika, którego wyczuł raczej, niż zauważył. Stał rozorała mu udo, lecz jego ostrze rozcięło ciało i zgrzytnęło na kości. Rozległ się piskliwy, nieludzki niemal wrzask. Ogarnięty szaleństwem, uderzał raz za razem torując sobie przejście przez miękkie ciała, które opierały się przez moment i padały pod jego atakami.

Prowadzeni przez Velię wiosłarze wdarli się do świątyni. Piktowie zebrali się w ciemności i opadli ich wyjąć z wściekłości. Na chwilę zapanowało straszne szaleństwo bitwy, chaos krzyków, przekleństw i jęków konających. W końcu Lycon przebił się, a Piktowie jak szczury pierzchali przed ciosami jego miecza.

Przed Lyconem otworzył się słabo oświetlony korytarz z rzędem zakratowanych drzwi po jednej stronie. Ściął karła, który skoczył na niego z obnażonym sztyletem, pozostałych jeszcze przy życiu Piktów zostawił Velii i załodze, a sam pobiegł tunelem, zaglądając po drodze do cel. Więż-

niowie błagalnie wyciągali ręce zebrząc o uwolnienie, lecz Elaka nie było wśród nich.

Drzwi przy końcu korytarza były otwarte. Lycon przeskoczył przez próg. Zobaczył nagą, pustą celę i odchyloną żelazną płytę naprzeciwko wejścia. Ruszył w tamtą stronę, czerwone krople krwi ściekały z ostrza jego miecza na kamienie podłogi.

W pobliżu cicho pluskała woda...

6. Noc bogów

Elak przestąpił próg i znalazł się w wąskim korytarzu, zalanym szarym światłem. Przed sobą widział falującą, skrzącą się w zimnym blasku powierzchnię.

Nagle usłyszał głos Dalana, cichy, dobiegający jakby znikąd, z powietrza, naglący, stanowczy, wołający jego imię.

—Elaku! Elaku!

—Dalanie! Gdzie jesteś? — szepnął. Rozejrzał się, lecz widział tylko nagie ściany.

—Nie ma czasu, Elaku — głos druida zadźwięczał ostro. — Cień zbliża się, gdy rozmawiamy. Skacz do sadzawki. Nurkuj, natychmiast. Na końcu korytarza...

Elak wahał się jeszcze.

—Ale gdzie jesteś?

—Nie ma czasu na rozmowy. Spiesz się...

Prośba i lęk w głosie Dalana popchnęły Elaka do czynu. Pędem przebiegł przez korytarz i zatrzymał się na skraju kwadratowego basenu. Nie wyglądał zbyt groźnie, podobnie zresztą jak wypełniająca go zielonkawa woda. Lecz pod nią czaiła się groza. A na powierzchni legł Cień.

Cień człowieka rzucający przez... pustkę! W niewytłumaczalny sposób widział na powierzchni wody nieprzejrzystą sylwetkę, ciemniejącą aż do czerni w miarę, jak bladło szare lśnienie w korytarzu.

— Uważaj, Elaku!

Głos Dalana ostrzegał go. Elak odwrócił się i zobaczył ciemnoskórego karła. Był tuż przy nim, blade oczy płonęły na wykrzywionej wściekle zwierzęcej twarzy. W dłoni ścisnął sztylet.

Zwarli się ze sobą na krawędzi sadzawki i szamocząc padli na podłogę. Śliskie ciało Pikta wiło się w uchwycie jak wąż. Stał zgrzytnęła o kamienie. Palce Elaka bezlitośnie zaciskały się na trzymającej sztylet dłoni. Karzeł potężnym szarpnięciem ściągnął klingę w dół, dotykając ostrzem pierś przeciwnika. Miotając przekleństwa przetoczyli się i... runęli w pustkę.

Sadzawka wchłonęła ich, wciągnęła w lodowatą jak polarne morza, turkusowo błękitną wodę. Elak widział jedynie ten wszechogarniający błękit. Spadał, dusił się bez tchu, walczył z mącą zmysły trwogą. Czy ta sadzawka nie miała dna?

Szafirowy odcień przeszedł w głębokie indygo, spienione przed jego oczami w najfantastyczniejsze wzory. Pojął, że to nie woda go otacza — gdyby tak było, utonąłby już kilka minut temu. Wyczuwał coraz szybszy prąd. Nagle straszliwe zimno niepojętą torturą wdarło się w głąb jego umysłu. Zdał sobie sprawę z gwałtownej zmiany otoczenia.

Wciągnął do płuc powietrze — zastałe i martwe, jakby nigdy nim nie oddychano, a przecież dziwnie orzeźwiające. Nieostre, migotliwe cienie wirowały dookoła. I niby demoniczna maska wypłynęła z mgły śniada twarz Pikta.

Blade oczy spojrzały na niego groźnie. Sztylet opadł i wbił się w ziemię, gdy Elak przetoczył się w bok. Próbował chwycić dłoń karła, chybił, skoczył na niego i powalił na ziemię swym ciężarem. Nie potrafił jednak unieruchomić tego muskularnego, śliskiego ciała.

Pikt skoczył na nogi szczerząc zęby. Elak uderzył go czołem w twarz, poczuł krew zalewającą mu oczy, oślepiającą. Strząsnął z powiek czerwone krople.

Nagle puścił dłoń karła, uniósł ręce i złapał go za gardło swymi żyłastymi, nawykłymi do miecza i topora dłońmi.

Rozpaczliwie próbował się uchylić, czując, jak ostrze sztyletu rozdziera mu klatkę piersiową. Pikt uderzył jednak za późno.

Wąskie palce Elaka zwały się niemal na śliskiej szyi, na skórze wystąpiły żyły grube jak powrozy. Rozległ się cichy trzask, a krzyk agonii zamarł w krtani wroga, nim zdołał wydobyć się na zewnątrz.

Błede oczy zaszklily się, karłowate ciało zwisło bezwładnie.

Elak wstał i ze zdumieniem rozejrzał się dookoła.

To co zobaczył, nie było ziemskim krajobrazem. Zmienne, niewyraźne kombinacje barw wirowały wokół, splatając się w chłodnym powietrzu. Przywodziły na myśl cienie drzew malowane słońcem na białej skale, drzące arabeski tańczących na wietrze liści. Niezwykle formy istniały jednak nie tylko na gliniastej powierzchni pod jego stopami. Były wszędzie. Stał samotny wśród fantastycznych splotów mrocznych cieni.

Tańczące, bezbarwne cienie. Lecz czy naprawdę bezbarwne? Nie znał i nigdy nie miał poznać koloru groteskowego splotu, który oplątywał go pajęczyną magii. Choć bowiem umysł mówił mu, że widzi barwy, oczy temu przeczyły.

Nagle spadła ciemność i pochłonęła go. Rozległy się ciche kroki, które szybko stały się głośniejsze. Coś minęło go w mroku z potwornym dudnieniem cyklopowych stóp, a grom tego przejścia wstrząsnął równiną. Nie było słyhać niczego prócz straszliwego tytanicznego stąpania.

Potem kroki ucichły w oddali i ciemność rozproszyła się. Znow zawirowały w powietrzu migotliwe cienie, znow stały się czarne.

Usłyszał szum skrzydeł. Coś leciało bardzo wysoko, zadowolony żalośnie i przeciągle. Było to jak krzyk kogoś zagubionego bez nadziei, wędrującego przez wieczną noc. Elaka ogarnęło uczucie przytłaczającego lęku, grozy większej, niż można sobie wyobrazić — takiej, jaką odczuwa się wobec czegoś tak obcego, że samo ciało kuli się i drży instynktow-

nie. Wiedział, że znalazł się w krainie, która nie była przeznaczona dla człowieka.

— Elaku...

Jakby z wielkiej odległości nadpłynęły ciche słowa — głos Dalana. Elak wyszeptał imię druida, kiedy ciemność znów wypełniły niewyraźne formy cienia. I znowu usłyszał daleki głos.

— Trafiłeś w niebezpieczne miejsce, Elaku, ale żyjesz. Ludzie Lycona właśnie wybijają Piktów, tak mówi mi kryształ... Jesteś bardzo daleko, Elaku, lecz spieszę do ciebie, Mider mnie wspomaga.

Znowu czerń i grom uderzeń skrzydeł. Straszliwa siła wstrząsnęła ciałem Elaka niby włócznia krusząca się o tarczę. I przemienęła, i ciemność rozjaśniła się, ukazując pełzające cienie.

— Znalazłeś się wśród bogów, Elaku — dobiegł szept Dalana. — Nie jesteś już w Atlantydzie ani nawet na ziemi. Trafiłeś do dalekiej krainy, pomiędzy tych, których pochłonął Cień, między bogów. Nie bogów Atlantydy ani bogów Wikingów, lecz bogów umarłych. Wokół ciebie wędrują ci, których ciała nie są jak nasze ciała, których życie obce jest naszemu życiu. Idę, Elaku...

Słodko, przesywając, artykułowanie niemal zadźwięczała w mroku struna harfy. Głos Dalana wtopił się w ciszę — i znowu załkał instrument. Melodyjna pieśń wzniosła się ponad muzykę, pieśń, której słowa — Elak wiedział o tym — nie pochodziły z żadnego z ziemskich języków.

— Elaku! — zawołał druid, zaskoczony i przestraszony. — Magia Elfa zwalcza moje czary. On...

Zapadła cisza. Po chwili odezwał się łagodny głos.

— Dalan — szepnął. — Dalan i Elak... moi wrogowie. Teraz umrzesz, Elaku, gdyż druid nie zdoła przyjść ci z pomocą. Moc mojej harfy powstrzyma go.

Bardzo cicho głos Dalana wypowiedział imię Elaka, potem raz jeszcze, wreszcie zamilkł. Cienie pływały w szarym powietrzu. Elak odruchowo sięgnął dłonią do pasa, lecz nie

znalazł broni. Pochylił się więc i spomiędzy zeszywniałych palców Pikta wyłamał sztylet. Czuł, jak ogarnia go rozpacz. Jak może walczyć z Elfem, samotny w tym zagubionym piekle, bez Dalana, który by mu pomógł?

— Twa zguba nadciąga — szepnął Elf, a struna harfy brzęknęła tajemniczo pełnym słodczy tonem. — Żyjesz, Elaku, a w Ragnarok nie ma życia. Są tylko martwi bogowie i pył z ludzkich dusz. Cienie spowolniły swój taniec i znieruchomiały. Umilkła harfa Elfa. Zapanowała absolutna cisza.

Wtedy, odległy i wielki, wznoszący się wysoko ponad horyzont Cień zaczął formować się w powietrzu. Miał ludzki kształt, lecz z jego mrocznego jądra wiał taki chłód grozy, że Elak desperacko zacisnął palce na rękojeści sztyletu. Drżał z lęku — lęku, jaki ogarnia ludzką duszę, gdy staje twarzą w twarz z Nieznanym.

7. Solonala i Mider

Coś zaszeleściło z tyłu. Elak odwrócił się szybko, wznosząc sztylet. To co zobaczył, sprawiło, że zamarł w zdumieniu. Nawet w szarym półmroku zdołał wyczuć coś nierealnie fantastycznego w tej postaci, co rozkołysanym krokiem wynurzyła się z cienia. Powitała go jednak przyjaznym gestem. Potem spojrzała tam, gdzie rozrastał się i mroczniał nad horyzontem Cień. Szybko pochyliła się nad zabitym Piktem, poruszyła smagłymi dłońmi... i karzeł drgnął, podniósł się i stanął, nieruchomy i sztywny jak lalka.

Był martwy — co to tego Elak nie miał wątpliwości. Łysa, niekształtna głowa wspierała się bezwładnie na obwisłym ramieniu. Nie widział dokładnie jego twarzy, lecz intuicja mówiła mu, że iskra życia nie zatliła się w pustych oczach. Poczul na plecach lodowaty dreszcz.

Pikt odwrócił się, zakołysał i omijając go pobiegł przed siebie tam, gdzie w dali czekała czarna groza Cienia. Elak

poczuł, jak miękka dłoń wsuwa się w jego rękę. Spojrzał w dół i zobaczył bladą twarz przyglądającej mu się uważnie dziewczyny.

Pociągnęła go za sobą, a on poddał się temu z wymuszonym nieco uśmiechem. W końcu nic gorszego niż to piekło nie mogło go spotkać. Szli, a wokół nich wirowały cienie. Po chwili usłyszał cichy głos.

— Teraz jesteśmy chyba bezpieczni.

— Znasz mowę atlantyjską? — zdziwił się. Zaśmiała się w odpowiedzi.

— Mówię własnym językiem. Wszystkie są tutaj jednym. Jak Cię zjawia się przed każdym w innej formie, a jednak jest tym samym po... pochłonięciu, tak i wszystkie mowy wydają się tu podobne. Świat, z którego przybyłam, leży daleko stąd. Jak ci na imię?

— Elak. A co z Cieniem?

— Znikł. Widzisz?

Spojrzał przez ramię, lecz nie dostrzegł niczego prócz roztańczonych błysków obcych barw.

— Ożywiłam martwą istotę — podjęła niewidoczna w mroku dziewczyna — i posłałam ją Cieniowi, byśmy mogli uciec, gdy On się posila. Na krótką chwilę jesteśmy bezpieczni, Elaku.

Przerwała, gdy ciemność rozjaśniła się. Stali przed wejściem do groty, otwierającym się w ścianie wału, który wznosił się w górę i znikał we mgle. Niekształtny, płaski głaz strzegł otworu. Minęli go i towarzyszka Elaka przyspieszyła kroku.

— Chodź — ponaglała. — Musimy się tu ukryć, przynajmniej na pewien czas.

Lecz Elak pochwyił ją i ścisnął ramiona palcami, którym zdumienie przydało okrucieństwa. Teraz dopiero dostrzegł, że jego towarzyszka nie pochodzi z żadnej z ziemskich ras.

Dziewczyna-satyr! Kobieta-faun, szczupła, biała i dziewicza jak chłodny marmur, o krągłych piersiach i rudozłoty włosach opadających miękkimi lokami na gładkie ramiona.

Do pasa była istotą ludzką, poniżej kończyło się wszelkie podobieństwo do człowieka i zaczynała czysta fantazja.

Jej nogi, porośnięte złotawym futrem, wygięte były jak u zwierzęcia — lecz nie jak niezgrabne racice kozła, a raczej jak nogi pełnej gracji łani, zakończone maleńkimi kopytkami, które w słabym świetle połyskiwały złotem. Twarz, mimo klasycznego piękna, była równie niezwykła. Żadna ziemską dziewczyna nie miała złotych oczu podobnych do dwóch jeziorok roztopionego kruszcu, bez białek i źrenic, niby oczy kota bez mrugnięcia wpatrujących się w Elaka. Kształt twarzy także w jakiś nieokreślony sposób przywodził na myśl kota.

Uśmiechnęła się bez łęku.

—Wydaję ci się niezwykła? — stwierdziła. — Ty także jesteś niezwykły, Elaku. Prócz twojego istnieje wiele światów.

—Na to wygląda. Na Bala! To musi być jakiś szalony sen!

Popchnęła go w głąb jaskini. Słabe światło penetrowało zakamarki przesłonięte fioletowym brokatem, skrywającym surowe skalne ściany. Na podłodze leżały poduszki.

— Na imię mi Solona — przedstawiła się dziewczyna-faun siadając z gracją w małym gniazdku z miękkich poduszek. — Czy ciebie także strąciły tu czary Elfa?

Elak nie odpowiedział, zafascynowany wpatrywał się w jej zadziwiające, porośnięte sierścią nogi. Solona spojrzała także, uśmiechnęła się i delikatnie stuknęła kopytkami.

—Jesteśmy zbudowani według różnych wzorów.

Elak pokiwał głową.

—Tak, chociaż... Elf, mówiłaś? Znasz go?

— Znam i walczyłam z nim. Kraj, którym kiedyś władałam, leży daleko stąd i daleko od twojej ziemi. Lecz moc Elfa pozwala mu wędrować pomiędzy światami. Kiedy przybył do mojego, dostrzegłam w nim zło i próbowałam go zniszczyć. Był silniejszy.

Wzruszyła szczupłymi ramionami.

—Tak tu trafiłam, a raczej Elf wygnał mnie tutaj. Nie mógł mnie zabić, gdyż nie jestem istotą ludzką i rozkład, który zniszczy kiedyś twoje ciało, nie może tknąć mego. Ale uwięził mnie w tej krainie, gdzie prędzej czy później pochłonie mnie cień...

—Czym jest ten Cień?

Lśniące złote oczy spojrzały na Elaka.

— Widziałeś go jako cień człowieka, prawda? Człowieka, takiego jak ty. A ja widziałam go jako cień Solonali. Każda istota dostrzega w Cieniu swój własny... bo jest jej własny. To ostateczna śmierć, to zniszczenie. Ta kraina jest jego siedzibą, lecz potrafi dotrzeć i do innych światów. Jeżeli otwarte zostaną bramy.

Bramy — takie jak sadzawka w podziemnej świątyni Pikk-tów.

— Tu właśnie przebywają martwi bogowie — zniżyła głos do szeptu. — Słyszałeś ich chyba, Elaku. Zawsze nadciąga ciemność, gdy przechodzą, gdyż wędrują po tej zagubionej krainie samotni, wśród wiecznej nocy.

W ciszy rozległ się delikatny, nieskończenie odległy dźwięk trąconej struny harfy. Wkradł się w umysł Elaka, który niemal nie zdając sobie sprawy, że cokolwiek usłyszał, poczuł ogarniającą go senność. Solonala przyglądała mu się czujnie swymi złotymi oczami.

— Słyszę magię — szepnęła.

Głos harfy rozbrzmiewał nadal, otulając Elaka mgiełką snu. Zapadając w drzemkę widział jeszcze, jak pochyła się nad nim zdumiona, kocia twarzączka Solonali... a potem już tylko ciemność...

Śnił. Był znowu w kabinie czarnej galery, a Dalan spoglądał w swą kryształową kulę. Niby kwiat rozkwitł w jej wnętrzu płomień, rósł, wznosił się, aż zawisł nad lśniącą łysiną druida.

Szkarłatny czubek płomienia wygiął się w dół, rozwinął w migotliwą różę ognia, kołysał się i drżał zawieszony w powietrzu. Dalan modlił się.

— Wysłuchaj mnie, Miderze, Boże Druidów, Władco Płomienia. Niech Twoja dłoń ocali tego człowieka przed Cieniem...

Cichy głos harfy rozproszył wizję. Jak przez mgłę Elak zobaczył twarz Solonali z rozchylonymi wargami, falującą w srebrzystym oparze.

I znów harfa uderzyła swym czarodziejskim szeptem w seny umysł Elaka... Harfa Elfa, niosąca śmiertelną magię!

— Elaku!

To był głos Dalana.

Brzęknęła gniewnie struna, a ponad jej ton wzniósł się krzyk.

— Elaku! Pomóż, Miderze... Elaku, usłysz mnie!

Elak rozbudził się całkowicie, jego dłoń sięgnęła do sztyletu u pasa. Gdzieś z zewnątrz słyszał cichy głos. Wstał i bezszelestnie ruszył do wyjścia. Tu zatrzymał się z rozszerzonymi zdumieniem oczami. Na płaskiej skale przed grotą przyklekła Solonala, jej jasna postać lśniła pośród zmiennych form cienia, a wokół niej klęczała horda ohydnych, białych stworów, pochylonych w upiornej adoracji. Poruszały się tak szybko, że nie potrafiły określić ich kształtów. Nie miał zresztą czasu, by się przypatrywać, gdy tylko się zjawił, dziewczyna dostrzegła go i rozkazującym gestem wyciągnęła przed siebie ramię. Białe istoty zerwały się do biegu i szybko zniknęły w dali.

Teraz dopiero dostrzegł Elak coś, czego dotąd nie zauważył: za Solonala wyrastał groźny, straszny, przyczajony — Cień!

Dziewczyna opuściła rękę.

— Czary Elfa sprowadziły Cień, kiedy spałeś — wyjaśniła.

— Nie mogłam cię zbudzić, chociaż próbowałam. Ci mali... to ja ich stworzyłam. To żywe istoty, zaspokoją Głód Cienia, a my spróbujemy uciec. Może się nam powiedzie.

Przerwała, pełna z wątpienia.

Nagle rozległ się potężny głos Dalana.

— Odwagi, Elaku! Przybywam! Przybywam z pomocą!

I szept Elfa, bezcielesny, łagodny, drwiący.

— Cóż zdoła zrobić Mider w walce z Cieniem, druidzie? Twój bóg żyje, a w Ragnarok nie ma życia.

Ogromny Cień na horyzoncie pociemniał. Migotliwe formy w powietrzu zafalowały szybciej, jakby zalęknione.

Elak spostrzegł, że Cień nagle zwija się i nurkuje ku niemu. Poczul przytulone do siebie drżące ciało Solonali, Instyktownie objął ją ramieniem. Krzyknęła... absolutna cisza stłumiła jej głos. Oboje okryła niezemska ciemność.

Złączyli się z Cieniem, byli nicością, unicestwieniem, całkowitą i ostateczną pustką. Elakowi pozostała jedynie świadomość siły, kosmicznej mocy Cienia, strasznej w swej nieznaną granic potędze. Prócz tej świadomości nie istniało nic. Nie przyciskał już do siebie Solonali, czuł, jak twierdza jego duszy, jego umysł, kruszy się pod naporem Cienia.

I nagle pojawiła się nadzieja. Nie rozumiał, w jaki sposób objawiła się po raz pierwszy, lecz nie był już częścią Cienia. Coś unosiło go, wyciągało z tej ssącej próżni unicestwienia.

Usłyszał głos druida, napięty, lecz tryumfujący.

— Miderze! Miderze, panie dębu i ognia, ocal go!

Rozbłysło światło — ciepły, różowy płomień. Jego blask ukazał mu postać Solonali, jej niezemską piękność... a także niezwykłą rzecz, na której stali. To była dłoń.

Gigantyczna, ośmiopalcza dłoń, jaka nie mogła należeć do żadnego z ziemskich stworzeń. Dłoń samego Midera, który wysłuchał modlitwy Dalana i sięgnął do piekła Cienia.

Dłoń ruszyła w górę, unosząc Elaka i Solonale...

...i zatrzymała się. Znowu powrócił mrok i zaczernił różowe, utkane z płomienia ściany. Morze cienia zalało ich niby fala przyływu i dłoń zaczęła opadać, zrazu wolno, potem coraz szybciej i szybciej.

Rozległ się pełen rozpaczny krzyk Dalana. I cichy śmiech Elfa.

Solonala uklękła przy Elaku, zarzuciła mu na szyję swe delikatne ramiona, słodkimi wargami musnęła usta. Potem, nim zdążył się poruszyć, odskoczyła i rzuciła się w pustkę.

Na sekundę, długą jak stulecie, jej białozłota sylwetka zawisała nad otchłanią czerni... i znikła. Elak podrywał się, kiedy do jego uszu dobiegł jej żalony krzyk.

Spóźnił się. Dłoń boga pomknęła w górę. Elak opadł na kolana, próbował doczołgać się do miejsca, gdzie zniknęła dziewczyna, lecz wokół była już tylko ciemność, jęki i wycie potężnego wichru.

8. Przybycie do Cyreny

— Elaku!

To był głos Lycona. Elak otworzył oczy. Szary blask wypełniał pomieszczenie. Leżał w korytarzu wiodącym do sadzawki, w podziemnej świątyni Piktów. Nad nim pochylała się niska, gruba postać Lycona, okrągła twarz płonęła podnieceniem.

— Żyjesz, Elaku? Czy te przekłete karły...

Elak nabrał tchu i wstał z wysiłkiem. Jego ubranie i włosy ociekały wodą. Spojrzał tam, gdzie błyszczała powierzchnia basenu, błękitna i cicha, wolna od Cienia, który jeszcze niedawno okrywał ją mrokiem.

— Właśnie cię stamtąd wyciągnąłem — wyjaśnił Lycon, podążając wzrokiem za jego spojrzeniem. — Wyskoczyłeś z wody jak korek.

— Nikogo więcej nie było? Nie widziałeś jeszcze kogoś w tym stawie?

Lycon milczał, patrząc w oczy przyjaciela. Wreszcie pokręcił głową.

— Nie — powiedział cicho. — Nie było nikogo.

Potem nie mieli już czasu na rozmowę. Velia wprowadziła czerwonych od krwi wioślarzy, którzy właśnie skończyli rzeź Piktów. Lycon chwalił się głośno, ilu karłów zabił własnoręcznie, oznajmił, iż męczy go pragnienie tak wielkie, że byłby niemal zdolny napić się wody.

— Ale tylko prawie — dodał. — Wracajmy na statek.

Burza nie uszkodziła go zbytnio, Elaku. Za dwa dni będziemy mogli wyruszyć.

Czarna galera znów płynęła po Morzu Wewnętrznym na północ. Ominęła brzegi wyspy Krenos i przez spienione wody ruszyła dalej, tam gdzie nad horyzontem wyrastały strome urwiska. Tam też, w najbardziej nieoczekiwanej chwili, gdy statek przybił już do brzegu, w polu widzenia pojawił się okręt księcia Garnicora.

—Oby Mider zgniół go bez reszty! — warknął Dalan, niezgrabnym krokiem zbliżając się do relingu. Jego szata, poplamiona morską solą, trzepotała na wietrze. — Elaku, nie mamy czasu, żeby z nim teraz walczyć. Musimy zebrać wodzów i poprowadzić ich przeciwko Wikingom.

—Mój brat — powiedział Elak. — Nie zapominaj o nim.

—Wiem, ale na niego przyjdzie pora później. Nie możesz pomóc Oranderowi, dopóki Wikingowie atakują z twierdzy Elfa, gdzie mieści się ich sztab i gdzie czarnoksiężnik więzi twego brata.

Na pokład wytoczył się Lycon.

— Na wszystkie Dziewięć Piekieł i jeszcze z tuzin na do

datek! — zaklął. — Czyżbyśmy się bali Garnicora? ruszaj naprzód, Elaku, i zabierz ze sobą Dalana. Mnie zostaw dwóch wioślarzy, a poczekam tu z nimi i...

— Jesteś pijany — stwierdził Elak bez gniewu. —

Odejdź.

Odwrócił się i popatrzył na długą galere, która skręciła w stronę brzegu i szybko rosła w oczach. Od czasu przygody z Piktami był nieco przygnębiony i nawet pieszczoty Velii nie potrafiły zatrzeć w jego duszy obrazu Solonali. Poświęcenie dziewczyny-fauna wstrząsnęło nim bardziej, niż mógłby się spodziewać. Dojrzywało w nim coraz bardziej palące pragnienie, by skrzyżować broń z Elfem, zabić tego minstrela-czarownika i to jak najprędzej. Dlatego zgodził się z Dalanem.

—Ruszamy w głąb łądu, tak?

—Do Lasu Sharn. Tam zbiorą się wodzowie ze swoimi

ludźmi. Wysłałem gońca, więc wieść rozniesie się po Cyrenie. Kiedy wojska przybędą do Sharn, ruszymy na północ, na fortecę Elfa.

—Dobrze. Wolałbym jednak mieć swoją broń. Ten miecz jest za ciężki. — Elak zamachnął się i świsnęło rozcinane hartowanym ostrzem powietrze. Dalan zachichotał.

—Tym też możesz przelewać krew. Chodźmy. Garnicor jest już prawie w zasięgu strzały z łuku.

Z druidem na czele oddział rozpoczął wspinaczkę na białe urwisko. Osiągnęli szczyt w chwili, gdy okręt księcia Posejdonii przybijał do brzegu. Garnicor nie marnował czasu, posępnie milczący, ruszył w pośpiechu prowadząc swoją załogę.

Wkrótce jednak został daleko z tyłu. Dalan dobrze znał teren i jego oddział szybko posuwał się przez leśny gąszcz. Powszechny zapach dzieliła nawet Velia i bez kłopotu dotrzymywała kroku mężczyznom. Tej nocy rozbili obóz w niewielkiej kotlinie nad strumieniem, szmerzącym cicho wśród paproci i krzaków jałowca.

Elak siedział zapatrzony w ogień i z roztargnieniem gładził włosy Velii.

— Dobrze jest być znowu w Cyrenie — westchnął. — Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś będę chodził po tej ziemi. Podobna ci się tu, Velio?

Dziewczyna kiwnęła głową. Płomienie oświetlały jej twarz migotliwym blaskiem.

—Ten kraj jest twardy i dziki... i jakby szczyry. Silni ludzie muszą tu mieszkać.

—Ci z Północy są silniejsi — burknął Dalan. — Przynajmniej dopóki Cyrena nie ma przywódcy.

Wyciągnął rękę i złapał Lycona, który zatoczył się niebezpiecznie blisko ognia.

—Znów ten pijany pies — mruknął. — Ale przynajmniej jest wierny.

—Bogowie tylko wiedzą, ile naprawdę jestem wart — oświadczył ku powszechnemu zaskoczeniu Lycon, po czym

zwałił się na ziemię i legł bezwładnie pomrukując z cicha. Nagle usiadł i oczy mu zabłysły. — Posłuchaj, Elaku!

Nie skończył mówić, dał się słyszeć tupot stóp wielu ludzi i ochrypły głos Garnicora, wykrzykujący rozkazy. Wrogowie z wrzaskiem rzucili się do ataku.

Ostry głos Elaka poderwał ludzi, płomienie błysnęły czerwienią na ostrzach mieczy. W chwilę później Garnicor i jego załoga byli już w kręgu światła ogniska.

Choć rozleniwieni ciepłem i niespodziewający się ataku, ludzie Dalana dzielnie stawili czoła napastnikom. Oba oddziały zwarły się i przemieszały. Zawrzała bitwa. Garnicor parł w stronę Elaka, a ten z radością ruszył mu naprzeciw. Zgrzytnęły kliny, zderzając się ze sobą, siła uderzenia wyrwała je z rąk walczących. Elak i Garnicor, bezbronni, rzucili się na siebie: miotający przekleństwa księżę i jego ostrożny, milczący przeciwnik. Upadli, roztrącając tłące się głownie.

Nagle zadudniły kopyta i ktoś krzyknął ostrzegawczo:

— Wikingowie! Strzeżcie się! Wikingowie! Ludzie Północy!

W kotlinę wjechali z wrzaskiem rudobrodzi giganci. Tak jak przedtem zalali Cyrenę, teraz kłując włóczniami i tnąc mieczami, niepowstrzymaną falą przetoczyli się przez obozowisko. Ludzie krzyczeli i konali pod kopytami ich koni, a ci, którzy przeżyli, uciekali w las. Po chwili nie pozostał już nikt prócz najezdźców z Północy i dwóch mężczyzn splecionych w morderczej walce.

Elak ścisnął gardło Garnicora, a nogi księcia z byczą siłą miażdżyły mu żebra, wyciskając ostatni dech. Wikingowie bezskutecznie próbowali rozdzielić ich mieczami.

— Na grom Thora! — zaklął szorstko jeden z nich. — Cóż to za szaleńcy? Guthrumie, oni...

Guthrum! Na dźwięk tego imienia Elak wyrwał się z uchwytu przeciwnika i skoczył na równe nogi nie zważając na ostrza mieczy przecinające mu skórę. Odszukał wzrokiem rudobrodego olbrzyma w kolczudze i hełmie, człowie-

ka silnego niegdyś, potężnego i dzielnego — człowieka o martwym spojrzeniu.

W Elaka wpatrywały się zmętniałem, zimne, okrutne i gorzkie błękitne oczy. Więc to był Guthrum, wódz Wikingów, którego układ z Elfem doprowadził do uwięzienia Orandera, króla Cyreny.

— Guthrum? — spytał Garnicor. — Wiking? Mój lud nie walczy z Wikingami. Jestem z Posejdonii.

Książę wyprostował się i spojrział wyzywająco na posepną figurę jeźdźca.

Wiking bez słowa wyrzucił w bok nogę, trafiając Garnicora w twarz swą obutą w stal stopą. Bluznęła krew, książę zatoczył się do tyłu, odzyskał równowagę, sięgnął po broń, której nie było... i ze straszliwym przekleństwem skoczył Guthrumowi do gardła.

Koń Wikinga stanął dęba i Garnicor runął pod ciosami kopyt. Guthrum roześmiał się gorzko, lecz jego oczy nie zmieniły wyrazu, kiedy spoglądał na rozciągniętego na ziemi przeciwnika. Potem skierował wzrok na Elaka, a ten poczuł, jak dreszcz przebiega mu po plecach od tego straszego spojrzenia błękitnych oczu. Coś umarło w wodzu ludu Północy, coś nieludzkiego było w jego wzroku.

Garnicor wstał chwiejąc się. Guthrum zwrócił rumaka w stronę zakrwawionego jeńca i w milczeniu słuchał, jak książę przeklina wściekle, przejęty gniewem doznanego upokorzenia. Wreszcie odezwał się.

Czy sądzisz, że lękam się takich jak ty? Czy myślisz, że przestraszy mnie cokolwiek na tej ziemi? Po tym, co pokazał mi czarnoksiężnik? — Jego spojrzenie było niewyobrażalnie wręcz straszne w swym zimnym okrucieństwie. — Ja, który o zdrowych zmysłach wyszedłem z lochów cytadeli Elfa, czy przeleknę się twoich przekleństw?

Spiął konia ostrogami i wśród grzmotu podków znikł w ciemności. Z mroku dobiegł jeszcze jego głos:

— Ukrzyżować tych ludzi!

9. Wodzowie w Sharn

Słowa Guthruma poderwały Elaka do działania. Wyrwał się strażnikom, nim jednak zdołał skoczyć w stronę zbawczej ściany lasu, pochwycili go znowu. Walczył zaciekle i rozpaczliwie, lecz bezskutecznie. Powalony na ziemię, leżał bezradny, przytrzymywany przez brodatych, okrytych kolczugami wojowników, tak samo jak Garnicor, którego twarz była jedną krwawą miazgą.

Wikingowie sprawnie zdjęli z księcia zbroję i powlekli go w stronę rosnącego w pobliżu dębu. Przeklinał ich i próbował się wyrwać, a jego małe oczka płonęły wściekłością i trwogą. Mimo oporu rzemienie uniosły jego ciało przywiązując je do potężnego drzewa. Ramiona wykręcono mu do tyłu, tak że otaczały pień. Używając żelaznych ćwieków i zaimprovizowanych młotów wojownicy z Północy zabrali się do krwawej pracy.

Poblady Elak przyglądał się, jak żelazo rozrywa ciało i kruszy kości skazańca, słuchał przeraźliwych krzyków wrywających się spomiędzy okaleczonych warg Garnicora. Wreszcie Wikingowie pozostawili go, wiszącego na wyrwanych niemal ze stawów ramionach. Ruszyli po drugiego jeńca.

Elak napiął mięśnie szykując się do beznadziejnej walki. Nagle dostrzegł zaskoczenie na brodatych twarzach oprawców. Wikingowie ze zdumieniem spoglądali na potężną postać w brunatnej szacie, stojącą na skraju kręgu światła rzuconego przez ognisko.

To był Dalan. Twarz miał straszną od gniewu, ramiona wzniosł w górę, milczał lecz samą postawą wyrażał groźbę tak straszną, że wojownicy zamarli na moment bez ruchu. Potem z krzykiem skoczyli ku niemu, wznosząc do ciosu swe miecze. Druid potrząsnął ramionami niezwykłym gestem, jakby rzucając klątwę na nieprzyjaciół. Z jego grubych warg spłynęło słowo, obce i nieznanome.

Moc była w goście Dalana, moc niosło słowo, które wyrzekł. Powietrze zdawało się drżeć naładowane elektrycznością.

Huk gromu ogłuszył Elaka. Potężna siła odrzuciła go w tył, oślepienie białą ścianą płomienia zalewającego polanę strasznym blaskiem. Na chwilę stracił przytomność.

Gdy się ocknął, zobaczył nad sobą druida. Przeklinając pod nosem starał się podnieść go na nogi. Osłabiony Elak odsunął go na bok, wstał i rozejrzał się. Obozowisko wyglądało tak, jakby trafił w nie piorun. Drzewa były osmalone, trawa poczerniała, a z Wikingów pozostały tylko popalone trupy w nadtopionych zbrojach.

— O, Isztar! — szepnął drżącym głosem. — Co się tutaj stało, Dalanie? Czy to były twoje czary?

Druid skinął głową.

— To magia ognia, której nie wolno mi używać zbyt często. Mam władzę nad płomieniem, Elaku, a ogień istnieje w niebie tak samo jak na ziemi. Z pomocą Midera sprowadziłem błyskawicę. Ci barbarzyńcy zginęli od gromu własnego boga — zarechotał złośliwie. — Miałeś szczęście, że nie zabili mnie podczas ataku. Spójrz, ich konie uciekły... przy najmniej te, których nie poraziło na śmierć.

Elak przesunął palcami po osmalonych brwiach.

— Nie rozumiem, w jaki sposób ja ocalałem. Czyżbyś potrafił kierować tą swoją magiczną błyskawicą, Dalanie?

— Może. A poza tym Wikingowie mieli na sobie zbroje, a ty nie. To mogło być przyczyną. Spójrz, ten ukrzyżowany, Garnicor, jest bez zbroi i także jeszcze żyje. Chociaż już chyba niedługo.

Elak spojrział na przybite do pnia dębu umęczone ciało księcia, zawahał się, po czym zdecydowanym krokiem ruszył ku niemu.

— Co z Lyconem? — rzucił przez ramię. — I z Velią? Są bezpieczni?

— Tak — kiwnął głową druid. — Czekają w pobliżu. Ale reszta załogi zginęła albo poszła w rozsypkę. Musimy jak

najszybciej dotrzeć do Lasu Sharn. Nie wiedziałem, że Wikingowie doszli już tak daleko na południe, a nasza czwórka nie może stawić czoła całej armii. W Sharn spotkamy się z wodzami... Co robisz, głupcze? Chcesz uwolnić tego kundla?

— Jest z Atlantydy — odparł Elak, szarpiąc jeden z żelaznych ćwieków przebijających ręce Garnicora. — A żaden

człowiek nie zasługuje na taką śmierć.

Książę był nieprzytomny. Gdy Elak wyrwał ostatni ćwiek, jego ciało padło bezwładnie na ziemię u stóp drzewa.

— Długo nie pożyje — stwierdził Elak. — Nie chcę go tu zostawiać. Wikingowie, jeśli wrócą, mogą go torturować. Ale...

— Nie możemy go zabrać! Bogowie, chcesz go karmić papką i pielęgnować po tym, jak dopiero co próbował poderżnąć ci gardło? Kiedy Elf wciąż włada Cyreną i więzi twojego brata? Powtarzam ci raz jeszcze, musimy ruszać do Sharn. I to szybko.

— Dobrze — zgodził się Elak. — On nie dożyje świtu. Nikt by nie przeżył z takimi ranami. Zatem: do Sharn! A potem pomaszerujemy na twierdzę Elfa.

— Pomaszerujemy na armię Guthruma — burknął Da-lan.

— Gdziekolwiek będzie. A na pewno będzie w pobliżu cytadeli Elfa. Tam mieści się dowództwo Wikingów.

Niezgrabna sylwetka druida rozplynęła się w mroku.

Elak podążył za swym towarzyszem. A obok potężnego dębu podniosła się z wysiłkiem przerażająca postać, osmalona, zakrwawiona, z ranami na rękach i nogach. Okaleczone wargi drgnęły i rozwarły się.

— Twierdza... elfa — wyszeptał chrapliwy, skrzeczący z bólu głos. — I Guthrum!

Mężczyzna wypluł z ust krwawą pianę, a paroksyzm kaszlu wstrząsnął jego ciałem. Powstał trzymając się pnia. Zaciskając zęby starał się opanować ból.

— Więc nie dożyję świtu? — wybełkotał. — Dożyję... będę żył, póki nie znajdę Guthruma.

Po kilku krokach książę Garnicor zatoczył się i upadł, lecz jedynie przez chwilę leżał nieruchomo. Potem, dysząc i jęcząc, bardzo wolno zaczął czołgać się w stronę lasu.

W Lesie Sharn Elak stał przed ołtarzem druidów, wielkim, szarym kamieniem wyżłobionym u szczytu w płytką misę, ciemną od krwi ofiar składanych tu od wieków. Świtało. Dzień i noc minęły od spotkania z Garnicorem i Wikingami. Elak przespał kilka godzin pod kamieniem druidów w czasie, gdy gromadzili się wodzowie wezwani do Sharn przez gońców. Lycon i Velia spali obok, Dalan zaś czuwał, by powitać każdego z przybywających. Teraz prawie wszyscy byli już na miejscu. Stali ustawieni w półokrąg, posepni w zimnym świetle poranka, a ich twarze nie zdradzały żadnej myśli. Elak dostrzegał jednak wrogość w ich oczach, obserwujących ich z podziwem, lecz nie bez podejrzliwości. Dalan także musiał to widzieć, gdyż jego twarz przybrała groźny wyraz.

Do przodu wystąpił młody wojownik o byczym karku i rumianych policzkach. Skrzyżowawszy ręce na piersi zatrzymał się o kilka stóp przed Dalanem.

— Czy pozwolisz mi mówić, druidzie? — zapytał drwiącym głosem.

Dalan przyglądał mu się ponuro.

— Tak, Halmerze. Jeżeli Cyrena chce, by gołowas mówił w jej imieniu — mów.

Halmer zaśmiał się pogardliwie.

— Moje słowa wyrażają myśli nas wszystkich. Tak sędzę. Posłuchaj więc: wikingowie wciąż trzymają wybrzeże. Nie pójdą na południe. A jeśli spróbują, potrafiemy ich odeprzeć.

— A co z Oranderem? — wtrącił Dalan. — Co z waszym królem?

Młody wódz zawahał się na moment, lecz spokój druida dodał mu odwagi.

— Będziemy walczyć o własne ziemie, jeśli zajdzie potrze-

ba — burknął. — Ale czary Elfa... któż zdoła się im przeciwstawić? Powiadam: pozwólmy ludziom Północy zatrzymać wybrzeże. Nie atakowali jeszcze moich terenów, gdyby spróbowali, będę wiedział, jak sobie z nimi poradzić.

— I Guthrum powygniata was, jednego po drugim — stwierdził Dalan. — Czy Halmer przemawia w imieniu wszystkich? Czy pozwolicie, by wasz król zgnił w mocy Elfa, by Wikingowie, niby ropiejący wrzód, panoszyli się na wybrzeżu? Miderze! Przecież potrzebna wam jest silna ręka władcy. Bez Orandera zaczniecie żreć się między sobą jak sfera wściekłych kundli!

Niektórzy zawstydzili się jakby, lecz przez dłuższą chwilę nikt nie zabierał głosu.

— A kimże jest Elak? — zapytał ktoś w końcu. — Mówisz, że to Zeulas, brat króla. Być może. Chcesz więc, byśmy byli posłuszni człowiekowi, który zabił swego ojczyma... a zatem takiemu, który może też zabić swojego brata, by zawładnąć Cyreną!

— Elak zaklął i wystąpił przed druida.

— Nie trzeba mężczyzny, by wami rządzić — rzucił szorstko.

— Kiedy opuszczałem Cyrenę, nie było tu tylu tchórzy i głupców. Prawda, zabiłem Noriana, ale w uczciwej walce, a większość z was pamięta pewnie, że ojczym nie darzył zbyt dużą miłością ani mnie, ani Orandera. A czy chciałbym panować w tej krainie kobiet? Nigdy. Prosiłem was o pomoc. Jeśli mi jej odmówicie, sam pójdę do twierdzy Elfa i znajdę brata.

Słowa te wywołały pewne poruszenie. Do przodu wystąpił wysoki starzec w pogiętej zbroi i rzucił swój miecz do stóp Elaka.

— Ja w każdym razie idę z tobą — oznajmił. — A mój orszak nie jest mały. Pamiętam cię z dawnych dni, Zeulasie, i wiem, że mówisz prawdę.

Zgodnie z dawnym obyczajem Elak podniósł miecz, dotknął czołem rękojeści i oddał starcowi.

— Dzięki, Hiro. Ja także cię pamiętam. I to, żeś zawsze był gotów walczyć za Cyrenę. A te psy...

Hira pokręcił głową.

—Nie, Zeulasie, czy też Elaku, to nie psy. To wszystko dzielni ludzie, lecz strach przed czarami Elfa i wzajemna nienawiść uczyniły ich mniej szlachetnymi.

—Idź z Hirą, cudzoziemcze — zaśmiał się Halmer. — Ty też, druidzie. Hira jest szaleńcem, jak wy. Ja wracam do swojej ziemi. I nie przysyłajcie więcej gońców.

Odwrócił się na pięcie, by odejść, lecz zatrzymał go ostry głos Dalana.

—Zaczekaj!

—Tak? — Halmer obejrzał się.

—Gryziecie się między sobą, słuchacie gołowąsów... i boicie się czarów Elfa. A przecież od nieprzeliczonych wieków druidzi żyli w Cyrenie i teraz nie padną na twarz przed bogami Północy tylko dlatego, że brakło kilku silnych ramion zdolnych unieść miecz. Powiadam wam: może czary druidów osłonią was przed Elfem, a może nie. Ale, na Midera! — Żabia twarz Dalana zmieniła się w jadowitą, demoniczną maskę, niemal pluł słowami w stronę wodzów. — Na Midera! Elf nie ochroni was przed magią druidów! A my nie straciliśmy swej mocy!

Kilku ludzi zgarbiło się, kilku pobladło. Halmer jednak roześmiał się pogardliwie i wzruszył szerokimi ramionami.

— Starcy i dzieci mogłyby się ciebie przestraszyć — oświadczył. — Lecz nie ja.

Dalan podniósł dłoń do góry. W jego głosie zabrzmiała groźba.

— Słuchaj zatem, Halmerze! I... patrz. Czy to nie pora świtu?

Na dźwięk jego słów wodzowie poruszyli się zaleknieni. Nikt nie zauważył, że stalowoszara zasłona chmur przesłoniła jaśniejącą czaszę nieba i ciemniejąc w oczach zaległa ciężko nad Sharn. Cień padł na polanę. Pnie drzew w mroku wyglądały dziwnie złowieszczo.

Halmer śmiał się ciągle.

— Mamy bać się chmur? Słabe są twoje czary, szarlatanie!

Dalan milczał obserwując Halmera spod zmrużonych po-

wiek. Zimny wiatr powiał przez Sharn, zaszumiały drzewa. Było coraz ciemniej. Przerażeni wodzowie zaczęli szeptać coś między sobą.

Elak przyciskał do siebie Velię, opiekuńczo otaczając ramieniem jej szczupłą talię. Lycon, wyjątkowo milczał, także z obawą patrzył w górę. Przed ołtarzem majaczyła sylwetka Dalana z groźnie wzniesionymi ramionami.

W głosie Halmera nie było już poprzedniej pewności siebie, jego policzki straciły swój rumieniec.

— Nie zostanę tu dłużej — warknął. — Mam...

— Odejdź — rzekł druid. — Jeśli się odważysz.

Halmer oparł dłoń na rękojeści miecza, odwrócił się i przecisnął przez szereg wodzów. Nikt nie poszedł za nim, gdy kroczył ku brzegowi polany. Kiedy miał wejść w cień drzew, zatrzymał się i cofnął o krok.

Elakowi wydało się, że z dala, z ciemności, coś na nich patrzy, coś niewyobrażalnie okropnego i chciwego żeru. Halmer też musiał wyczuć tę obecność, gdyż wahał się i nie ruszał w przód ani w tył.

— Magia druidów jest słaba — szepnął Dalan. — Cóż cię wstrzymuje, Halmerze? Niczego przecież nie ma między drzewami.

Niczego — prócz cichego szelestu, słabego pomruku w ciemnym, dziewiczym lesie. Nad Sharn wstawał szary świt.

— Starcy i dzieci mogłyby się mnie przestraszyć — szedł druid. — Lecz nie ty, Halmerze. Nie ty.

Młody wódz zaklął i, jakby zrzuciwszy niewidzialne pęta, skoczył w mrok. Pomruk pogłębił się, wzniósł do niskiego, posępnego ryku. Halmer był tylko niewyraźnym cieniem nurkującym wśród wyniosłych drzew. Ludzie spostrzegli, jak zatrzymuje się i zaskoczony patrzy w górę. Błysnął wyciągnięty miecz, a ryk lasu stał się ogłuszający. Coś runęło w dół, jakby konar oderwany od macierzystego pnia, spadający poprzez listowie na człowieka, który wydał z siebie ryk potwornej grozy — i skonał. Widzieli, jak Halmer pada zmiażdżony straszliwym ciosem.

Ryk lasu zamarł, zmienił się w słaby pomruk, szelest, nie-słyszalny niemal szum.

— Magia druidów jest słaba — powiedział cicho Dalan.

— Czy teraz także Halmer tak myśli?

Zwrócił się w stronę wodzów.

— Idźcie za nim, jeśli się ośmielicie — wrzasnął. — Spróbujcie opuścić Sharn bez złożenia hołdu Elakowi, a kłątwa druidów będzie wam towarzyszyć w wędrówce przez las. Na Midera! Idźcie, a przekonacie się, jak długo uda wam się przeżyć.

Nikt nie śmiał stawić czoła gniewowi druida. Jeden po drugim wodzowie występowali, by rzucić swe miecze do stóp Elaka.

I tak Elak objął dowództwo nad wojskami Cyreny, a wieści z Lasu Sharn rozbiegły się jak pożar: Gromadźcie się! Gotujcie broń! Kraj powstał przeciw najeźdźcom z Północy, a brat króla wiedzie Cyrenę na Elfa i Guthrurha!

Gromadźcie się! Gotujcie się do marszu przeciwko hordom Wikingów!

10. W Dolinie Czaszek

Lycon łapczywie wypił wino, odłożył bukłak i otarł usta wierzchem dłoni. Czujnym spojrzeniem zlustrował szeregi zbrojnych, lśniąca stal, parskające konie rwące się do bitwy. Dwanaście dni minęło, nim ściągnęli ostatni wojownicy z gór i odległych zakątków Cyreny. Kolejne trzy dni maszerowali, by dotrzeć do Doliny Czaszek, zwanej tak od pewnego rozbójnika, który — dawno temu — zasypywał jej zbocza głowami swych nieprzyjaciół. Wikingowie zebrali się prędko i także założyli obóz w Dolinie. Rzeka oddzielała od siebie obie armie, wyczekujące bezpiecznie poza zasięgiem strzału.

—Kiedy atakujemy? — spytał Lycon stojącego przy nim na niewielkim wzgórku Elaka.

—Wkrótce — brzmiała odpowiedź. — Za kilka minut

pokaże się słońce. O wschodzie przekroczymy Monrę — Elak wygiął ostrze swego miecza. — Dobrze jest znowu mieć w rękę taką broń. Dzisiaj ma klinga przejść swój chrzest.

— Moja także — wtrąciła Velia zbliżając się do nich szybkim krokiem. Lekki pancerz okrywający jej ciało błyszczał w szarym świetle przedświt. Brązowe włosy wysypywały się spod hełmu, zbyt małego, by pomieścić ich lśniące sploty. — Wiesz, Elaku, tu jest całkiem inaczej niż w Posejdonii. Do takiego życia zostałam stworzona, nie do wyperfumowanego haremu w pałacu Garnicora.

— Tak, to nie Posejdonia — zgodził się ponuro Lycon. — Tam mają dobre trunki. W tym barbarzyńskim kraju zdobyć wina jest rzeczą prawie niemożliwą, a to gorzkie piwo, które pijają twoi rodacy, Elaku, to zbyt wiele jak dla mnie. O, na mój kielich goryczy! — splunął i znowu sięgnął po bukłak.

Elak przytulił Velię do siebie i pocałował ją szybko.

— Możemy dzisiaj zginąć — rzekł do zarumienionej dziewczyny. — Wolałbym, żebyś została w obozie.

Velia uśmiechnęła się i pokręciła głową.

— Zakosztowałam wojny i zasmakowałam w niej. Posłuchaj.

W oddali zagrały trąby. Ich muzyka była coraz głośniejsza, bliższa, wreszcie sygnał rozbrzmiewał od zbrocza do zbrocza. A za rzeką czekały armie Wikingów...

— Chcą użyć łuków, kiedy będziemy się przeprawiać — stwierdził Elak. — Lecz chyba się rozczarują. Mój plan jest gotowy.

Jeszcze głośniej zagrzmiały trąby, zawarczały bębny, zatrzepotały w porannym wietrze wzniesione proporce. Armia Cyrany ruszyła. Krzepcy, jasnoskórzy, złotowłosi wojownicy podążali za wodzami kierując swe rumaki w spieniony nurt Monry. Elak uśmiechał się patrząc na nich.

— Hira i Dalan przeprowadzili swoich ludzi na skrzydła Wikingów — wyjaśnił Velii. — Nieprzyjaciół spodziewa się

pewnie, że spróbujemy przekroczyć Monrę w okolicach centrum ich szyku. Tymczasem... patrz!

Pierwszy szereg wojsk Elaka był już w wodzie i szedł naprzód wśród gradu strzał. Na drugim brzegu czekali oszczepnicy, a dalej z tyłu rudobrodzi rycerze w zbrojach, z mieczami i toporami. Żołnierze Cyreny nagle jakby skoczyli naprzód mijając przednie straże i stoczyli się ze zbocza w stronę Monry. W tylnych szeregach jednak odbywało się zorganizowane przegrupowanie — całe oddziały pędziły w prawo i w lewo i na ukos zbliżały się do brzegu starając się obejść wroga od flanki.

— O co chodzi? — zdziwiła się Velia. — Wikingowie mogą jechać tak samo szybko jak nasi ludzie. Dlaczego...?

Za rzeką nieprzyjaciel spostrzegł manewr Elaka i grupy jego wojsk skierowały się ku skrzydłom — lecz niezbyt daleko. Głośny krzyk podniósł się najpierw na prawej flance, a w chwilę później także na lewej. Przez grań z obu stron spływali ku Wikingom wojownicy Cyreny. W słońcu błyszczały ich miecze i lance.

— Hira... i Dalan — stwierdził Lycon. — Nocą okrążyli wroga. Dadzą nam szansę przekroczenia Mory.

Teraz strategia była jasna: wąski szyk żołnierzy utrzymywał brzeg rzeki, a łucznicy angażowali siły wroga. Natomiast tylne szeregi Cyreny galopowały na prawo i lewo, pędziły ku Monrze, na drugi brzeg i dalej w górę po stromym zboczu, wśród gradu ciosów i strzał. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie Hira i Dalan, których wojownicy siali zamęt i śmierć na obu skrzydłach Wikingów.

— Przeprawiliśmy się! — krzyknął Elak. — Teraz mamy równe szanse. Teraz decyduje siła, nie taktyka. Ruszajmy!

W pobliżu niecierpliwie przebierał kopytami wielki, biały wierzchowiec, jego kopyta krzeszały iskry na kamieniach. Elak jednym skokiem znalazł się w siodle. Stał w strzemionach i z nagim rapierem w ręku popędził w dół. Za nim gnali Lycon i Velia. W dół, do Monry! Piana pryskała wysoko, gdy galopowali przez wodę. Wojownicy wzniesli bojowy

okrzyk — i w chwilę później Wikingowie, desperacko walczący o każdy cal traconego terenu, cofali się w górę, spychani przez siły Cyreny.

Potem był już tylko krwawy wir pchnięć i cięcia toporów, mieczy i włóczni miotanych silnymi ramionami, rzemie galopujących koni, których jeźdźcy jedną ręką trzymając wodze drugą zadawali ciosy, padające wierzchowce, konające w krwawej kipieli, potężni rycerze, którzy walczyli, ginęli i zabijali jeszcze padając.

Pochylały się kruczoczarne proporce, wołania „Odyn! Thor z nami!” mieszały się z okrzykami „Cyrena! Cyrena!”. Elak pchnął i pchnął raz jeszcze. Jedną ręką kierował koniem, który potykał się i przeskakiwał nad walczącymi żołnierzami i nad nieruchomymi ciałami poległych. Po prawej stronie widział ponad otaczającym go tłumem głowę Dalana i jego wielki miecz, kładący wokół druida szeroko pokos trupów. A przed nim, w pierwszym szeregu armii Wikingów jechał Guthrum, z rudą brodą jaśniejącą jak płomień. Niby śmierć sama wznosiła się jego postać nad ciałami tych, których hełmy i czaszki kruszył okrwawiony topór króla Wikingów.

—Thor! Thor z nami!

—Cyrena!

Pot i krew zalewały Elakowi oczy. Starał się wypatrzyć Lycona i Velię, choć wiedział, że w wirze walki jest to niemal niemożliwe. Jakiś Wiking zbliżał się do niego i z krzykiem zniżał włócznię do ciosu. Elak uchylił się, grot rozorał mu policzek, lecz ostrze miecza ugrzęzło głęboko w szyi wroga. Wyrwał broń z rany: Zadźwięczała stal, gdy stał się z kolejnym przeciwnikiem.

Słońce wznosiło się coraz wyżej, a odór przelanej krwi mieszał się z ostrym zapachem potu. Wikingowie skoncentrowali swe siły na grani wiedząc, że są zgubieni, jeśli pozwolą zepchnąć się dalej. Król Guthrum szalał, jego topór wznosił się i opadał rytmicznie niby młot Thora, boga

Północy. Wojska Cyreny zostały powstrzymane i zepchnięte w dół.

— Naprzód! — Elak spiął wierzchowca i rzucił się w horde nieprzyjaciół zalewającą Dolinę Czaszek. — Cyrena! Na przód, Cyrena!

Klinga miecza skoczyła do przodu, szybka jak wąż i równie jak on śmiercionośna — i przeciwnik runął w agonię.

Krzyk Elaka zatrzymał jego ludzi na granicy odwrotu prowadzącego ku klęsce. Jeden człowiek o szaleńczej odwadze stanął przeciwko armii — a potem Cyrena trwała, trwała i opierała się, szarżowała na schodzących w dół wrogów.

— Bij! — rozległ się krzyk, chrapliwy i potężny jak głos trąby krzyk Dalana. — Bij Wikingów! Za Cyrenę!

Wycieńczeni, zmęczeni walką ludzie poczuli przypływ nowych sił, pijani krwią i mordem rzucili się do szaleńczego ataku, który mógł mieć tylko jeden rezultat. Broniący się do ostatka, desperacko i bez nadziei na zwycięstwo Wikingowie zostali zmiażdżeni, zepchnięci na grań i dalej, w dół, a wojska Cyreny wylały się z Doliny Czaszek niby pochłaniający wszystko pożar. Był to dzień klęski dla najeźdźców, ich Ragnarok, czarne proporce runęły, zdeptane przez kopyta koni zwycięzców.

— Bij! Bij Wikingów!

Elak krzyczał stojąc w strzemionach. W porażce najeźdźców z Północy widział zgubę Guthruma, koniec Elfa, wolność dla swojego brata. Cyrena zwyciężyła — tyle wiedział. Lycon, z zaczerwienioną i pokrwawioną twarzą, zatrzymał konia obok niego.

— Patrz, Elaku! Zmykają jak króliki!

Nawet w tej chwili nie potrafił powstrzymać się od przesady. Rudobrodzi olbrzymi nie uciekali — walczyli ciągle, choć bez nadziei, i nawet konając zabijali.

Elak podjął decyzję. Jego oczy rozbłyły.

—Zostań tu, Lyconie. Poprowadzisz ludzi.

Zawrócił konia.

—Gdzie jedziesz, Elaku?

— Do twierdzy Elfa! Natychmiast. Zaskoczę go...

Dalszy ciąg zdania był niesłyszalny, gdyż Elak spał wierzchowca ostrogami i pogalopował na grań, a potem wzdłuż niej, skrajem pola bitwy. Wśród wrzawy nikt nie słyszał wołania Lycona.

Ktoś jednak dostrzegł Elaka. Jeden koń wyrwał się z bitewnej zawieruchy i ruszył w pościg. Na jego grzbiecie siedział Dalan w swej brunatnej szacie. Nawet przed taką bitwą nie włożył zbroi, lecz mimo to nawet nie drasnęło go żadne ostrze. A z tych, którzy znaleźli się w zasięgu jego ciężkiego miecza, niewielu tylko pozostało żywych. Krew spływała po wyrytych na ostrzu runach.

Z pola bitwy wzniósł się w górę śmiertelny krzyk Wikinga, a za Elakiem i Dalanem pomknęła zemsta: Guthrum na wielkim, czarnym rumaku prowadzący niewielką grupkę jeźdźców. W jego martwych oczach płonęła zimna żądza mordu.

11. Jak zginął Garnicor

Mroczne wody Morza Wewnętrznego oblewały wielkie, ponure zamczysko — twierdzę Elfa. Była pusta lub prawie pusta — Wikingowie odjechali, by w Dolinie Czaszek spotkać armię Elaka, a mag trzymał niewiele sług. Plotka głosiła, że nie wszyscy z nich byli ludźmi.

Przed świtem ze wzgórz zszedł człowiek i wkroczył do cytadeli. Z wysiłkiem wspinał się na wyszczerbione głązy muru, strzegącego spokoju Elfa. Lecz barbakanu i nabijanej ćwiekami bramy wewnętrznej nie potrafił sforsować. Czekał więc ukryty w cieniu i gładził ostrze długiego miecza, który ścisnął w okaleczonej dłoni. Twarz księcia Garnicora przypominała pysk któregoś z maskaronów szczerzących zęby z dachu fortecy. Przeżył, a poszukując Guthruma w niepojęty sposób dotarł aż tutaj. Teraz, nic nie wiedząc o bitwie w Dolinie Czaszek, siedział i czekał, a jego oczy błyskały

złośliwie. W strzępach ubrania był bardziej niż kiedykolwiek podobny do jakiejś potwornej, owłosionej małpy, zaczejonej na swój łup.

Słońce stało już wysoko, gdy usłyszał wreszcie tętent kopyt. Cofnął się szybko i skrył w ocienionej wnęce. Dwaj jeźdźcy zatrzymali się przed żelazną furtą w zewnętrznym murze.

Elak zeskoczył z konia i przyjrzał się kamiennej ścianie. Powstrzymał go głos Dalana.

— Zaczekaj. Nie będziesz musiał się wspinać. Otworzę ci te drzwi.

Nie zsiadając z siodła druid wyjął spomiędzy fałd swej szaty jakiś przedmiot, którym cisnął w przeszkodę. Na moment mur skrył się za kurtyną oślepiająco białego płomienia. Spłoszone konie zaczęły się szarpać i stawać dęba. Wierzchowiec Elaka niemal przewrócił swego pana, który próbował go powstrzymać.

Po chwili ogień przygasł. W miejscu furty widać było tylko rozpaloną do białości kałużę roztopionego metalu, a kamienie portalu szerniały i popękały od straszliwego gorąca. Dalan spał konia, który bez trudu przeskoczył nad płynnym żelazem. Jadący za nim Elak zdążył jeszcze zobaczyć ogień buchający z kraty barbakanu.

— Na razie idzie nieźle — mruknął druid przyglądając się, jak roztopiony metal ścieka na kamienie dziedzińca. — Lecz Elf nie polega jedynie na bramach i murach.

Elak w milczeniu spoglądał w górę. Na szczycie wewnętrznego muru tkwiła maskara wyrzeźbiona, zdawało się, w nierównej, ciemnej skale — stwór, który mógłby pochodzić z każdego z Dziewięciu Piekieł. Ogromny, przysadzisty i ohydny, zdawał się zwisać nad dziedzińcem lustrując go groźnym wzrokiem. Ze zdeformowanych ramion wyrastały szerokie skrzydła. Elak wyczuwał zło tkwiące w tym stworze i zdawało mu się, że maleńkie oczka obserwują go uważnie.

— Chodź! Barbakan otwarty.

Czarny rumak druida ruszył do przodu — i jednocześnie

Elak pochwycił jakiś ruch nad sobą, wyczuł raczej niż zauważył, jak maskara spada w dół machając skrzydłami i wyciągając przed siebie mordercze szpony. Wbił ostrogi w boki swego ogiera i pchnął go na wierzchowca Dalana. Równocześnie wyrwał z pochwy swój miecz i nie celując pchnął ponad głowę.

Poczuł uderzenie ciężkich skrzydeł. Broń wypadła mu z ręki, a on sam runął na kamienie. Walczył o życie z potworem, który ryczał, drapał i szarpał strasznymi kłami, o którym dotąd sądził, że jest wyrzeźbiony z kamienia: z maskarą przywołaną do życia przez czarną magię Elfa. Wycieńczony Elak nie był żadnym przeciwnikiem dla tego monstrum. Kły zbliżały się do jego gardła, a na twarzy czuł już cuchnący oddech.

I nagle ciężar przygniatający jego ciało znikł, zdyszany Elak zobaczył, jak Dalan unosi potwora nad głową. Straszliwa siła kryła się w tłustym ciele druida, cisnął wyrywającą się maskarę na kamienie dziedzińca i skoczył na nią oboma stopami. Miecz błysnął krwawo...

—Na Bala — mruknął Elak podnosząc z ziemi swój miecz. — Czy to był demon, Dalanie? Nigdy jeszcze nie widziałem takiego zwierzęcia.

—Nikt go nie widział — stwierdził druid przyglądając się martwemu cielsku potwora. — Demon to dobra nazwa dla tego pierwotnego stwora. Elf postawił go tutaj, by strzegł bramy. No... — machnął mieczem. — Gdybym tak z równą łatwością mógł przeciąć gardło czarnoksiężnika... Dobrze! Zostaw konia, Elaku. Od tego miejsca pójdziemy pieszo.

Ukryty we wnęce Garnicor patrzył i zastanawiał się. Kiedy Elak z Dalanem przekroczyli próg i zniknęli w podziemiach twierdzy, wyskoczył ze swej kryjówki i podążył za nimi.

Od strony wzgórz zbliżała się grupka jeźdźców z Guthrumem na czele. Popędzali konie i krzyczeli, jedynie król Wikingów milczał. W ręku ścisnął bojowy topór, na którego ostrzu zaschły ciemne, rdzawe plamy krwi.

— Do krypt — rzekł Dalan krocząc spiesznie pustymi korytarzami. — Znam drogę. Często badałem ją w swoim kryształ. Szybko!

Druid jakby wyczuwał zbliżające się niebezpieczeństwo.

Przechodzili przez wysoko sklepione tunele, gdzie Elak z ciekawością badał wzrokiem głębie bocznych przejść, wiodących w tajemnicze podziemia twierdzy, schodzili w dół krętymi schodami, słabo oświetlonymi lub całkiem ciemnymi, przebiegali przez komory, w których widzieli wspaniałości godne królewskich pałaców. Nie spotkali nikogo. Olbrzymia cytadela była zupełnie opustoszała, a przynajmniej takie sprawiała wrażenie. Dotarli już głęboko pod ziemię. Nim wreszcie trafili na metalowe drzwi rzeźbione w przedziwne, kabalistyczne znaki. Tu Dalan zatrzymał się.

— Oto serce zamku Elfa — powiedział cicho. — tu więzi twojego brata. Spójrz, Elaku — druid wyjął jakiś podłużny przedmiot owinięty w tkaninę. Odwinął ją odsłaniając krótki sztylet wycięty, zdawało się, z kryształu. — Mieści w sobie potężne czary — wyjaśnił, podając go Elakowi rękojeścią do przodu. — Zabije czarnoksiężnika, mimo że żadna ziemska stal nie zdoła go zranić. To nóż ofiarny druidów.

Elak skinął głową i wsunął sztylet za pas. Dalan odwrócił się i otworzył metalowe drzwi. Na chwilę obu ich oślepił wybuch światła barwy bursztynu, lecz po chwili odzyskali wzrok i przestąpili próg...

Stali na platformie wyrastającej z nagiej, skalnej ściany ciągnącej się w górę, na boki i w dół w niezgłębiony bezmiar bursztynowego blasku, raniącego oczy swym lśnieniem. Przed sobą widzieli jedynie chmury — bursztynowe kłęby przesuwające się nieustannie, falujące wokół nich jak morze, jasne jak płomień, a przecież zimne i lepkie jak mgła. Elak cofnął się mimowolnie, poruszony niezwykłością tego widoku.

— Spokojnie — potężna dłoń druida ścisnęła jego ramię. — Spokojnie. Czeka nas niebezpieczna droga. Patrz!

Coś pojawiło się w polu widzenia z lewej strony: czarny obiekt przypominający wielką, spłaszczoną u góry kulę. Unoszący się bez żadnego podparcia w bursztynowej mgle, podpływał bezgłośnie coraz bliżej, aż zatrzymał się niecałą stopę od platformy, na której stali. Elak widział teraz, że istotnie jest to kula wydrążona jak ogromny puchar, niby wielka pomarańcza ze ściętym czubkiem.

— Pojedziemy tym rydwanem — szepnął Dalan. — Chodź ze mną.

Zbliżył się do krawędzi platformy i skoczył. Jego wielkie ciało okryte brunatną szatą zawisło na chwilę nad złocistą głębią i spadło bezpiecznie do wnętrza kuli. Ta nie zakołysała się nawet.

— Elaku — druid obejrzał się i skinął ręką. — Pospiesz się!

Elak nie zastanawiał się ani chwili. Skoczył i niewiele brakowało, by przeleciał nad pojazdem, lecz Dalan pochwycił go i ściągnął w bezpieczne miejsce. Poblądły Elak niepewnie podniósł się na nogi.

Kula sięgnęła mu do piersi. Jej podłoga, o średnicy mniej więcej czterech stóp, zrobiona była z jakiejś smolistoczarnej substancji, której nie potrafił rozpoznać.

Magiczny rydwan zakołysał się i popłynął wzdłuż nagiej, skalnej ściany. Platforma, na której stali jeszcze przed chwilą, zniknęła w złocistej mgle. Sunęli po nieskończonym morzu zimnego ognia...

Podążający za Elakiem i Dalanem Garnicor szybko zdał sobie sprawę z tego, że sam także jest ścigany. Nie domyślał się jednak, że znalazł się za nim człowiek, którego szuka. Przyspieszył kroku. Pchnął drzwi prowadzące na skalną platformę w chwili, gdy Elak skoczył do wydrążonej kuli. Książę zatrzymał się zdumiony. Dopiero gdy niezwykle rydwan zniknął wśród chmur, zauważył, że kroki ścigających są coraz głośniejsze. Przystąpił próg i przyciskając się do ściany wzniosł w górę miecz.

Ludzie Guthruma z początku nie zauważyli przeciwnika. Wbiegli na platformę całą gromadą wyjąc jak wilki. Niewiele brakowało, by jeden z nich z rozpędu runął w przepaść. Wisząc już prawie w powietrzu skręcił ciało, by wyhamować bieg, zderzył się z którymś z towarzyszy, chwycił go za ramię... i żaden z nich nie zauważył zabójcy.

Garnicor skoczył naprzód rycząc z wściekłości. Uderzenie wielkiego miecz rzuciło jednego Wikinga na drugiego i obaj, wymachując rękami, z krzykiem rozpaczony zniknęli za krawędzią platformy. Zanim pozostali zdążyli się zorientować, Garnicor uderzył znowu. Widok zniechęconej twarzy Guthruma zwiększył jeszcze jego wściekłość. Miecz jak papier pękł pod ciosem ciężkiej klingi, trzasnęła kość, Wikingowie krzyknęli — trzech z nich już nie żyło, a więcej jeszcze miało umrzeć wkrótce.

Garnicor był bowiem jak sama śmierć. Nienawiść do króla Guthruma dodawała mu sił. Jego miecz opadał, zataczał kręgi i zabijał. A choć książę nie miał zbroi, zdawało się, że żaden cios ni pchnięcie nie potrafią go powstrzymać. Zabił trzech wrogów i był ranny w pierś, plecy i udo. Krew tryskała na jego łachmany. Nawet twardego Wikingów przenikał dreszcz przerażenia, gdy ten szalenie — śmiertelnie ranny, z okaleczonym torturą ciałem — śmiał się. Radość przepelniała Garnicora, gdy wyrąbywał sobie drogę do Guthruma. Krew płynęła z niewygojonych ran na jego stopach i dłoniach, mieszając się z czerwoną kałużą rozlewającą się po platformie.

Jakaś głowa spadła z ramion. Cofając miecz Garnicor ciął kolejnego Wikinga i niczym papier rozrąbał jego kolczugę. Zdeformowaną dłonią otarł z czoła pot i krew — i zobaczył, że pozostał już tylko jeden przeciwnik, rudobrody gigant, którego topór opadał ze świstem. Książę skoczył wysuwając miecz.

Topór wgryzł się głęboko w kark Garnicora. Książę krzyknął i wyprostował się, miecz wypadł z osłabłej dłoni. Ponura uciecha błysnęła w mrocznych oczach Guthruma.

Lecz Garnicor nie był jeszcze martwy. Zatoczył się wykrzywiając twarz, rękami starał się pochwycić pustkę... Spojrzał — i zobaczył Guthruma, jak stoi samotnie wśród trupów, ostatni żywy Wiking.

Ryknął i skoczył.

Stalowe palce zacisnęły się na szyi Guthruma. Bezbronny Garnicor uczynił ze swego ciała żywy pocisk, pchający rudobrodego olbrzymia do tyłu i w dół... na samą krawędź platformy... i dalej!

Dwaj wrogowie runęli w otchłań spleceni w śmiertelnym uścisku. Książę Garnicor wrzeszczał tryumfalnie i szaleńczo. Lecz król Wikingów nie wydał z siebie głosu, gdy poprzez złocistą mgłę spadał ku swej śmierci.

12. Mag i druid

Kula niosąca Dalana i Elaka kołysała się lekko w przestrzeni płynąc ciągle dalej i dalej. Wreszcie coś zamajaczyło we mgle. Druid odetchnął głęboko.

— Skacz za mną, Elaku. I... nie zwlekaj.

Wieża... baszta... zębata granitowa zjawą pojawiła się w polu widzenia wyrastając spośród kłębow bursztynowych chmur. Dalan z wysiłkiem wspiał się na krawędź kuli i przykucnął. Turnia zbliżała się... Druid skoczył, rękami i nogami szukając oparcia na niebezpiecznie stromej skale. Elak poszedł w jego ślady, znowu przeżywając chwilę lęku przygotowującego o mdłości, gdy poczuł pod sobą niezmierną otchłań pustki. Po chwili obaj stali już na pochyłości. Dalan wskazał otwierające się tuż przed nimi wejście do tunelu.

— Oto nasza droga, Elaku. Chodźmy.

Ostrożnie wsunęli się do otworu. Trafili w krótki, wiodący w dół korytarz, słabo oświetlony wpadającym z wnętrza bursztynowym blaskiem. Na jego końcu znaleźli drzwi. Nie były zamknięte, Dalan rozwarł je na oścież. Zaraz za pro-

giem stała latarnia, której jasny płomień ukazywał każdy szczegół leżącej przed nimi jaskini.

Była pusta, z wyjątkiem małego kwadratowego ołtarza z ciemnego kamienia i klęczącego przed nimi człowieka, zapatrzonego w zimne, złociste głębie klejnotu, który trzymał z zeszywniałych dłoniach.

— Orander! — krzyknął Elak.

Nie usłyszał odpowiedzi. Orander z Cyrany, brat Elaka, był jak kamienna statua. Rozpuszczone włosy lwia grzywą okalały jego kształtną głowę, rysy twarzy znamionowały siłę i szlachetność. Lecz twarz ta była jakby... przesłonięta.

Niewyczuwalny mrok niby cień śmierci zasłaniał rysy króla, niedotykalny, a przecież istniejący. Elakowi wydało się, że jego brat znajduje się gdzieś daleko, mimo iż jego ciało jest tutaj, o kilka stóp zaledwie. Zawołał go znowu, choć wiedział, że Orander nie usłyszy.

— Cyrena straciła króla — powiedział cicho Dalan. — Potężna magia tkwi w tym żółtym klejnocie.

— Obudzę go — warknął Elak i ruszył przed siebie. Nagle zatrzymał się, a na jego twarzy pojawił się wyraz ogromnego zdumienia. Przez chwilę zdawało się, że walczy z pustką. Wyciągnął ręce, ześlizgując się jakby po niewidocznej ścianie, zagrządzającej mu drogę.

— Potężna magia — powtórzył druid. — Nie, nie wyciągaj miecza. Złamiesz go tylko. Jedna tylko droga prowadzi do Orandera. Niebezpieczna droga.

Widząc niecierpliwy gest Elaka Dalan pośpiesznie zgasił latarnię. Potem zamknął drzwi, by bursztynowy blask nie wpadał do jaskini. Nieprzenikniona czerń spowiła wnętrze.

— Jedna jest tylko droga, która prowadzi do króla, Elaku. Droga, której jeszcze nie przemierzyłem. Patrz.

Elak nie widział niczego. Przed oczyma migotały mu świetliste plamy, po chwili jednak zbladły i roztopiły się w ciemności. Byli sami.

A potem Elak zobaczył maleńki, jasny punkcik.

— Widzisz? — spytał Dalan. Elak mruknął twierdząco. —

Więc idź za nim. Tak, by ciągle mieć światełko przed oczami. Idź naprzód, powoli, aż...

Głos druida ucichł i stopił się z ciszą. Elak ruszył ku świetlnemu punktowi. Oczekiwał zderzenia z niewidzialną barierą, która zagroziła mu drogę poprzednio, nie wyczuł jej jednak. Zatrzymał się po dziesięciu krokach. Orander powinien teraz być tuż koło niego.

— Dalej! Prędko! — usłyszał chrapliwe, nagłające wołanie Dalana.

Żółte światełko zniknęło. Przez chwilę Elak szukał go na próżno, wreszcie dostrzegł, mrugające jak maleńka gwiazdka. Ruszył dalej, a ono robiło się coraz jaśniejsze.

Wciąż jednak był to tylko punkt, prowadzący go przez całkowitą ciemność. Zdał sobie sprawę, że przemierzył już długość jaskini i powinien zderzyć się ze skalną ścianą. A jednak nie... i kamienie pod stopami zdawały się inne, jakby bardziej miękkie i elastyczne. Poczł nagle przerażający za-wrót głowy, straszliwy wstrząs, wyrrywający z miejsca każdą cząstkę jego ciała. Był zdezorientowany, zagubiony, świadom ruchu, którego nie pojmował.

Po chwili ciemność rozplynęła się. Wokół jaśniało chłodne, żółte światło. Obok stał Dalan — ale nie byli już w jaskini. Stali na bursztynowej równinie pod lśniącym, bezsłonecznym, złocistym niebem. Wokół rozpościerał się pusty, połyskujący zimnym blaskiem przestwór.

— Na Isztar! — Elak ściszył głos. — Gdzie my jesteśmy Dalanie? To... to nie jest Ziemia.

— Nie. Znaleźliśmy się w bardzo dalekim, niebezpiecznym miejscu. Przeszliśmy przez bramę do innego świata.

— Bramę?

— Ten żółty klejnot — wyjaśnił Dalan. — To most pomiędzy naszą ziemią a tym światem. Więcej nawet...

Druid przerwał. Daleka, błyszcząca równina zdawała się, przekształcać w niezwykle sposób, wyrastała w potężne fale sunące ku nim od horyzontu. Przez chwilę Elak widział zdziwioną, zalęknioną twarz Dalana, potem jakaś siła ode-rwała

ich od siebie. Między nimi rozwarła się rozpadlina. Dostrzegł płonące w otchłani czerwonepomarańczowe ognie. Zdawało mu się, że wiruje w pustce, że z szaloną prędkością pędzi ponad równiną. Na moment świat zamknął się wokół niego, jak gdyby ściśnięty przez zwinięte jakoś rozległe płaszczyzny. Z desperacją chwycił rękojeść miecza.

I nagle stał samotny na szerokiej, lśniącej równinie. Widział nad sobą jedynie niebo barwy mosiądzu. Druid zniknął. Panowała absolutna cisza.

— Elaku! — usłyszał cichy głos. Obejrzał się, lecz nie dostrzegł nikogo.

Wtedy z pustki wyłonił się cień. Dwuwymiarowy i nierzeczywisty, ciemniał, nabierał kształtu i masy. Przed Elakiem pojawił się człowiek i stał spokojnie przyglądając mu się — szczupły, niebieskooki młodzieniec o miękkich, płowych włosach. Miał na sobie tunikę z wyprawionej skóry i jako jedyną broń sztylet za pasem. W rękę trzymał harfę.

Elak przypomniał sobie twarz, którą widział w kryształowej kuli Dalana na galerze — twarz czarnoksiężnika Elfa, tę samą, na którą patrzył teraz. Znów wyczuł straszliwe zło zaczajone w głębi tych niewinnych oczu, wyzierające niby diabeł spod maski.

— Jestem Elf — oznajmił mag. — Zresztą wiesz o tym, jak sędzę.

Nie drgnął nawet, gdy Elak wy dobył miecz i pochylił się groźnie wysuwając do przodu prawą stopę.

— Wiem — przyznał Elak ostrożnie. — Gdzie jest Dalan? Sprowadź go tutaj. Jeśli nie, krew tryśnie z twojego gardła, zanim zdążysz się ruszyć, by rzucić zaklęcie.

Elf uśmiechnął się.

— Nie. Mam sprawę tylko do ciebie. Przeszkodziłeś mi w moich planach, lecz nie chcę cię zabijać. Zamiast tego wolałbym cię widzieć na tronie Cyreny.

— Co? — Elak nie opuścił broni. — Czego teraz próbujesz? Sprowadź tu Dalana, mówię!

—Dalan cię okłamał. Powiedział, że twój brat jest moim więźniem.

—Widziałem go. Kłamstwa nic ci nie pomogą.

—To prawda, Orander jest tutaj — przyznał Elf. — Ale nie jako więzień. W Cyrenie był królem. Ale w mojej krainie jest czymś więcej. Uczyniłem go... bogiem!

—O czym ty mówisz? — warknął Elak. — Chcesz zyskać na czasie. Sprowadź...

Czarnoksiężnik przebiegł palcami po strunach harfy. Zabrzmiała słodka nuta, pełna jednak chwytającej za serce gorzkości. Natychmiast zapadła ciemność.

W tej samej chwili Elak pchnął mieczem — w pustkę. Klnąc głośno machał bronią na ślepo.

Ciemność rozproszyła się. Elak zobaczył unoszącą się na niebie gigantyczną twarz brata. Przedziwna kurtyna obcości wciąż przesłaniała jego rysy. Wyobcowanie w oczach króla było tak wyraźne, że Elak poczuł chłód, jakby owinął go oddech Nieznanego.

Usłyszał cichy głos Elfa.

— Pokazałem ci Orandera — szeptał czarnoksiężnik. — Teraz zobaczysz coś jeszcze. Pokażę ci krainy, gdzie włada bóg, który jest twoim bratem.

I znów opadła kurtyna ciemności.

Horyzonty oznaczone światłami: pomarańczowymi, szkarłatnymi, żółtymi, migocącymi oszałamiającym pięknem, latające wśród nich gigantyczne cienie... wizja powoli rozwiała się i znikła. Elakowi zdawało się, że unosi się ponad ogromnym miastem wzniesionym na szczycie góry, wielopoziomym i pełnym ogrodów.

W ogrodach panował niesłychany przepych. Lśniące kopuły i minarety strzelały wysoko ponad szerokie, wykładane marmurem ulice, mosty i mostki spinały brzegi kanałów i stawów, w których falowała leniwie połyskująca żółtym blaskiem woda.

Mieszkańcy tego miasta nie byli ludźmi. Byli zwierzętami,

lecz i czymś więcej. Elakowi przypominali kamienne posągi pięknych i gibkich, brodatych i skrzydlatych stworów o ciablach lwów. Potężne mięśnie poruszały się płynnie pod ich atlasową skórą. A ich twarze wyrażały mądrość ponad wszelkie wyobrażenie. Pióra wielobarwnych skrzydeł trzepotały w łagodnym wietrze, niosącym zapachy przywodzące na myśl kraje Wschodu.

— Oto Athorama — dobiegł z pustki głos Elfa. — Orander włada całą jej wspaniałością.

Znów zapadła ciemność i znów się rozstąpiła ukazując miasto wśród morza, gdzie żółty blask miał niewyraźny seledynowy odcień — białe miasto pogrążone w zieleni i błękitach, purpurze i szkarłacie. Roślinność pięła się po ścianach wież, węzowe drzewa skręcały się i wiły na ulicach. Mężczyźni i kobiety w tym mieście poruszali się wolno, odziani w luźne, tajemniczo powiewające w półmroku szaty. Były też niewyraźne, pływające tam i z powrotem cienie... — Oto Lur — szepnął Elf. — Zatopione Lur. Tutaj także Orander jest bogiem.

Opadła ciemność i uniosła się odkrywając bursztynową równinę, na której znalazł się Elak. Łagodnie uśmiechnięty czarnoksiężnik stał obok. Uniósł dłoń, gdy błysnęło ostrze miecza.

— Zaczekaj. Zobaczyłeś światy, które stworzyłem dla rozkoszy Orandera, gdzie wszystko porusza się i dzieje tak, jak on zapragnie. A teraz znowu pokażę ci króla.

Zamruczała tajemniczo harfa. Na ognistym niebie chmury zaczęły się gromadzić i układać w niezwykle wzór. Powoli sformowała się w górze twarz Orandera, króla Cyreny, wpatrująca się w coś, zdawało się, nieskończenie odległego, gigantyczna twarz wisiała na niebie, fantastycznie wielka i daleka.

— Oranderze — powiedział czarnoksiężnik. — Elak jest tutaj.

Ogromna twarz nie zmieniła się, nie drgnęły wargi, a jednak dał się słyszeć głos, wyraźny i zimny:

— Słyszę.

Ten głos wstrząsnął Elakiem. Należał do kogoś, kto przestał już być człowiekiem. Jednocześnie jednak był to głos Orandera, przewyciężył więc lęk i zawołał króla po imieniu.

—Słyszę — powtórzył głos. — Wiem, po co przybyłeś. To na nic. Wracaj.

—To ty wkładasz słowa w usta zjawy — warknął Elak odwracając się, by stanąć twarzą w twarz z Elfem.

—Nie, to ja sam, niegdyś Orander. Elf uczynił mnie bogiem i stworzył światy dla mej rozkoszy. Wracaj.

—Sam widzisz — stwierdził czarnoksiężnik, obrzucając Elaka szczerym spojrzeniem. — Czy chcesz ukraść bogu jego światy? Nie rzuciłem żadnego zaklęcia na Orandera. Król prosił mnie, by wyświadczyć mu tę łaskę, a ja uczyniłem to z pomocą moich czarów: stworzyłem światy, którymi włada twój brat. Czy zechcesz teraz wlec go z powrotem do Cyreny, od której uciekł?

Elak milczał marszcząc brwi. Elf mówił dalej.

— Dalan pozazdrościł mi potęgi, to wszystko. Próbował skierować Cyrenę przeciwko mnie, więc w obronie własnej wezwałem na pomoc lud Północy. Nie mogłem prosić Orandera. Przyłącz się do mnie. Zasiądziesz na tronie Cyreny, a moje czary będą ci służyć. Zapomnij o kłamstwach druida.

Zwątpienie ogarnęło Elaka. Odrzucił miecz.

—Nie chcę władzy — powiedział. — Nie szukam korony. Przybyłem tu, by odebrać najeźdźcom Cyrenę i uwolnić brata. Ale...

—Ale Orander nie pragnie wyzwolenia...

—Kłamiesz!

To był głos Dalana! Elak podniósł głowę i spojrzał w niebo tam, gdzie obok gigantycznej twarzy Orandera pojawiła się inna — tłusta jak ryj wieprza, brzydka jak pysk ropuchy o oczach wpatrzonych w Elfa.

— Na Midera! — ryknął druid. — Na Midera! Próbujesz nakarmić Elaka kłamstwami? Nie pomogą ci teraz twoje zaklęcia, ty wężowa wymiocino!

Czarnoksiężnik spojrział w górę, nieporuszony. A głos Dalana rozbrzmiewał z nieba niby grom.

— Moja magia silniejsza jest od twojej, inaczej nie byłoby mnie tutaj. Tak jest, próbujesz zyskać poparcie Elaka, bo nie śmiesz się z nim zmierzyć teraz, gdy ma z sobą nóż ofiarny druidów.

Elf wykrzywił wargi, lecz Dalan krzyczał dalej nie zwracając na niego uwagi.

— Elaku! Straszliwy czar wiąże Orandera. Został zauroczony piekielnym jadem magii Elfa, zaklęciem rzuconym na niego zniecka. Możesz jednak przywołać go na powrót do Cyreny. Będzie ci za to wdzięczny. Człowiek nie został stworzony po to, by być bogiem. Straszliwa groźba wisi nad Oranderem, jeżeli nie wróci. Opowiedz mu o Cyrenie, Elaku, o jego ludzie...

Przez sekundę Elak zastanawiał się wpatrzony w gigantyczną twarz brata. Potem z okrzykiem radości chwycił leżący na ziemi miecz i wznosił go do góry. Dojrzał zmianę w boskim obliczu, zasłona mroku uniosła się przed oczu króla.

— Oranderze! —zawołał. — Oranderze! Wracaj do Cyreny! Najeźdźcy z Północy pustoszą wybrzeża, z ogniem i mieczem przyplływają w smoczych łodziach. Wodzowie walczą, lecz potrzeba im króla. Gdy go zabraknie, Cyrena znowu padnie. Oranderze, wspomnij swoje królestwo, wspomnij pola swej krainy, zielone w ciepłym, słonecznym blasku i srebrzyste w świetle księżyca. Wspomnij chaty i stada swe go ludu, Las Sharn i ołtarze druidów, góry i równiny Cyreny, swego rumaka i miecz... wspomnij to wszystko! Wspomnij tych nieulekłych, co przed tobą siedzieli na tronie, krew i stal, z których powstało twoje królestwo! Wracaj do Cyreny, Oranderze!

Ogromna twarz nie była już obliczem boga. Orander, król Cyreny, spojrział na Elaka, który poczuł w żyłach tryumfalne uderzenie krwi. Usłyszał krzyk druida:

— Strzaskaj klejnot, Oranderze! Rozbij ten diabelski kamień, który trzymasz w dłoniach!

Rozległ się grom i trzask, jakby świat pękał na dwoje. Ognisty blask znikł z nieba. Huk rozbrzmiewał wokół, błyski świetlnych obrazów rozłamywały ciemność. Runęły szczątki zatopionego Lur, wielka i wspaniała Athorama padała na zbocza góry, a bestie uciekały z wrzaskiem, szaleńczo bijąc skrzydłami powietrze. Ponad wszystkim rozlegał się śmiertelny krzyk ginącego wszechświata, wibrował i wznosił się w straszliwym crescendo grozy.

Elak dostrzegł wykrzywioną nienawiścią twarz Elfa. Poczł jak coś oplata się wokół jego ciała niby zwoje wielkiego węża. Upuścił miecz, lecz przypomniał sobie o kryształowym sztylcie u pasa. Wydobył ostrze druidów. Raz za razem wbijał je w zimne, niewidoczne w ciemnościach i cofające się przed jego atakami cielsko.

Potem poczuł kły, zwierające się na jego gardle i desperacko ciał sztyletem. Rozległ się krótki i straszny wrzask śmiertelnej męki. W nagłym rozbłysku światła zobaczył ciało Elfa spadające w niezmierną przepaść, która otwarła się pod nim. Gdy patrzył, postać czarnoksiężnika rozpadła się, rozdarta na strzępy przez niewidzialną moc czekającą w otchłani. Znowu zapadła ciemność. I cisza.

Ktoś obok gramolił się sapiąc głośno. Zamigotało niewyraźnie światełko i Elak zobaczył druida, pochylającego się nad latarnią. Ze zdumieniem pojął, że stoi w grocie obok czarnego ołtarza. Obejrzał się szybko.

Jakiś człowiek podnosił się właśnie. Na kamieniach wokół niego leżały potrzaskane żółte drzazgi. Orander, już nie w magicznym transie, wyzwolony spod czaru, podnosił się z wysiłkiem.

Elak skoczył do niego i chwycił brata za ramiona.

—Orander! Dzięki niech będą Isztar!

—Podziękuj raczej Miderowi — wtrącił sucho Dalan. —

I Oranderowi za to, że strzaskał żółty klejnot i przełamał czar.

Na brzydkiej twarzy pojawił się wyraz złośliwego tryumfu.

— Ale zabiłeś Elfa, Elaku, i za to składam ci dzięki. Niech jego dusza przez wieczność cierpi męki w Dziewięciu Piekłach.

Kilka tygodni później Dalan, stojąc na szczycie wieży królewskiego zamku, obserwował trzy postacie oddalające się na południe. Wzruszył ramionami. Stojący obok Orander uśmiechnął się trochę smutno.

—Nie chciał zostać, Dalanie. Żałuję tego.

—Mądrze zrobił — odparł druid. — Kraj powinien mieć jednego tylko bohatera: swego króla. Lepiej, by odjechał w pokój, niż żeby pozostał, by stać się załączkiem sporów.

—Nie, nie byłoby żadnych sporów. Ale Zeulas... Elak, jak każe się teraz nazywać, ma duszę włóczęgi. Nie zmienia go moje namowy. Więc odjeżdża na południe z Lyconem i Velią u boku.

Postacie w siodłach mały w oddali — dwie blisko siebie i trzecia, jadąca w pewnej odległości za nimi, kiwająca się w siodle i utrzymująca równowagę jedynie dzięki kurczowemu trzymaniu się końskiej grzywy. Elak i Velia galopowali przed siebie, co chwila wybuchając cichym, radosnym śmiechem. Jadący z tyłu Lycon także był szczęśliwy — na swój sposób.

— Wino — mruczał ochryple. — Całe bukłaki. I to dobre wino! Bogowie są bardzo łaskawi...

NASIENIE DAGONA

Dwie strużki sączyły się wolno po nieheblowanych deskach podłogi. Pierwsza wypływała z rany ziejącej w gardle leżącego twarzą ku ziemi, okrytego zbroją ciała, druga ciekła ze szpary w pogiętym pancerzu. W migotliwym świetle rozkołysanej lampy tańczyły groteskowe cienie trupa i dwóch ludzi siedzących w kucki i przyglądających się zwłokom.

— Wygrywam, Lyconie — stwierdził jeden z nich, wyso-ki, niezwykle szczupły mężczyzna, którego smagłe ciało było tak gibkie, że zdawało się pozbawione kości. — Krew zakręca dziwnie, ale strużka, którą ja przelałem, pierwsza dopłynie do tej szczeliny — ostrzem miecza wskazał odstęp pomiędzy deskami.

Niewinne oczy drugiego rozszerzyły się ze zdumienia. Był niski, krępy, nad szerokimi barami widać było zdumiewająco podobną do małpiej twarz. Zakołysał się lekko.

— Na Isztar! Krew płynie pod górę!

Jego towarzysz, Elak, zachichotał.

— Wlałeś w siebie tyle miodu, że cały ocean mógłby po płynąć pod górę. No, wygrałem zakład, zdobycz jest moja.

Wstał, podszedł do zabitego i wprawnie zaczął go obszukiwać. Nagle zaklął.

— Ta świnka jest goła jak bachusowa westalka! Nie ma sakiewki!

Lycon uśmiechnął się szeroko, stając się bardziej niż zwykle podobny do niewyrośniętej, bezwłosej małpy.

—Bogowie czuwają nade mną — oznajmił z satysfakcją.
—Ze wszystkich milionów żyjących w Atlantydzie musiałeś się pobić z żebrakiem — jęknął Elak. — Teraz musimy uciekać z San-Mu, tak, jak wcześniej musieliśmy przez twoje burdy opuścić Posejdonię i Kornak. A w San-Mu mają najlepszy miód na tym lądzie. Jeżeli już musiałeś narobić kłopotów, to czemu nie z tłustym lichwiarzem? Przynajmniej by nam zapłacił za te tarapaty.

—Bogowie czuwają nade mną — powtórzył Lycon. Kołysał się w przód i w tył, śmiejąc się do siebie. W końcu pochylił się za bardzo, padł na nos i w tej pozycji już pozostał. Spomiedzy fałd jego tuniki wypadł jakiś przedmiot i z metalicznym brzękiem stuknął o dębowe deski podłogi. Lycon zachrapał.
Z nieprzyjemnym uśmiechem Elak podniósł sakiewkę i zbadał jej zawartość.

— Masz szybsze palce ode mnie — zwrócił się do leżące go — ale ja potrafię wypić więcej miodu. Następnym razem nie próbuj oszukiwać kogoś, kto ma więcej rozumu w małym- palcu u nogi niż ty w całym swoim koślawym cielsku. Żarłoczny małpison! Wstawaj, oberżysta wraca z żołnierzami.

Wsunął sakiewkę do torby u pasa i od serca kopnął Lycona, który nie zbudził się jednak. Przeklinając głośno Elak zarzucił ciało towarzysza na ramię i niepewnym krokiem ruszył na tyły tawerny. Z ulicy coraz głośniej dobiegały krzyki, wśród których łatwo było rozpoznać płaczliwy głos karczmarza.

— Policzymy się jeszcze, Lyconie — obiecał ponuro Elak. — Tak, na Isztar! Nauczysz się...

Odsunął złocistą draperię, przebiegł korytarzem, kopnięciem otworzył dębowe drzwi i znalazł się w zaułku na tyłach oberży. Nad nim migotały gwiazdy. Lodowaty wiatr dmuchnął mu w spoconą twarz. Elak trochę otrzeźwiał.

Lycon drgnął i przekreślił się w jego uścisku.

— Jeszcze grogu! — mruknął. — Bogowie, czy nie ma tu już grogu?

Rzewna, gorąca łza spłynęła na szyję Elaka, który przez chwilę rozważał całkiem pociągającą myśl o zrzuceniu Lycona i pozostawieniu go wściekłym strażnikom. Żołnierze San--Mu nie słynęli raczej z miękkiego serca, a opowieści o tym, co czasem robili ze schwytanymi jeńcami, były nieprzyjemnie szczegółowe.

Zrezygnował jednak. Biegł alejką, gdy z ciemności wyskoczyła nagle muskularna postać. W słabym świetle gwiazd dostrzegł niewyraźnie wściekłą, brodatą twarz. Rzucił Lycona i wyrwał miecz z pochwy. Żołnierz atakował, jego ciężka klinga opadała w dół.

Wtedy to się stało. Elak zobaczył, jak zdumiony strażnik rozdziewia usta, dostrzegł grozę w jego zimnych oczach. Twarz przeciwnika zmieniła się w maskę śmiertelnego przerażenia. Rozpaczliwie skoczył do tyłu — ostrze miecza otarło się niemal o głowę Elaka — i pędem pognął w ciemność.

Elak odwrócił się płynnie z gotowym do ciosu mieczem. Stojący za nim człowiek błyskawicznym ruchem podniósł ręce do twarzy i opuścił je szybko. Gest ten nie krył jednak groźby. Mimo to patrząc na swego wybawcę Elak poczuł na plecach dreszcz trudnego do wyjaśnienia niepokoju. Co przstraszyło atakującego strażnika?

Spojrzał badawczo na obcego. Zobaczył mężczyznę średniego wzrostu, ubranego w obszerną, szarą szatę, niewidoczną niemal w półmroku. Na bladej twarzy o regularnych, posagowych niemal rysach pojawił się czarny otwór w miejscu ust i cichy głos, wyszeptał:

—Uciekasz przed strażą? Broń nie będzie ci potrzebna — jestem przyjacielem.

—Kim... zresztą, nie ma czasu na rozmowy. Dzięki i żegnaj.

Elak pochylił się i na powrót zarzucił sobie na ramiona bezwładne ciało Lycona, który mrugał oczami i cicho wołał o więcej miodu. Szybki tupot zbrojnych był coraz głośniejszy, zbliżające się pochodnie rzucały błyski światła na trójkę ludzi.

— Tędy — szepnął mężczyzna w szarym stroju. — Będziecie bezpieczni.

Teraz Elak dostrzegł otwarty w kamiennej ścianie czarny prostokąt. Bez wahania skoczył ku niemu. Obcy wszedł także i natychmiast niewidoczne drzwi zamknęły się, skrzypiąc zardzewiałymi zawiasami. Znaleźli się w absolutnej ciemności.

Elak poczuł na rękę dotknięcie miękkiej dłoni. Lecz czy to była dłoń? Na chwilę ogarnęło go dziwne uczucie, że to ciało nie należy do ludzkiej istoty — było zbyt miękkie, zbyt zimne! Dreszcz przebiegł mu po skórze od tego krótkiego kontaktu. Dłoń jednak cofnęła się zaraz i poczuł w palcach fałdę szarej materii. Chwycił ją.

— Idź za mną!

Cicho, ściskając szatę przewodnika, z Lyconem na ramionach, Elak ruszył naprzód. Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób tamten odnajduje drogę wśród całkowitej czerni. Może znał ją na pamięć. Korytarz — o ile był to korytarz — zakręcał i wił się bez końca, podążając w dół. Po chwili Elak miał wrażenie, że znaleźli się na otwartej przestrzeni — może w jaskini. Kroki brzmiały inaczej, a z mroku dobiegały jakieś niewyraźne szepty, jakieś głosy w mowie, której nie znał. Syczące pomruki szeleściły dziwnie, aż Elak zmarszczył czoło, a jego ręka mimowolnie sięgnęła do rękojeści miecza.

— Kto tu jest? — warknął.

Niewidoczny przewodnik zawołał coś w tajemniczym języku i szepty umilkły natychmiast.

— Jesteś wśród przyjaciół — odezwał się z ciemności cichy głos. — Dotarliśmy prawie do celu. Jeszcze kilka stopni...

Jeszcze kilka stopni i rozbłysło światło. Stali w niewielkiej, prostokątnej skalnej komorze. Płomyk lampy oliwnej odbijał się słabo od wilgotnych ścian, po kamiennej podłodze płynął wąski strumyczek, ze złośliwym chichotem plusku ginący w niewielkim otworze pod ścianą. W komorze było dwoje drzwi. Mężczyzna w szarej szacie zamykał właśnie jedne z nich.

Nierówny stół i kilka krzeseł składało się na umeblowanie pokoju. Elak nateżył uszy. Usłyszał dźwięk, który zdumiał go tutaj, w leżącym z dala od wybrzeża San-Mu. Nie mógł się mylić. Odgłos fal, chlupiących cicho gdzieś w oddali... czasem huk, jakby łamiącego się na skałach przyboju.

Bezceremonialnie zwałił Lycona na jedno z krzeseł. Niski mężczyzna pochylił się na stół, opierając głowę na rękach.

— Czy nie ma miodu w Atlantydzie? — wymruczał smutno. — Umieram, Elaku. Mój żołądek jest jak wypalona pustynia, po której maszerują armie Eblisa.

Pociągnął nosem i zasnął.

Elak ostentacyjnie wyjął z pochwy miecz i położył go na blacie. Jego szczupłe palce objęły rękojeść.

—Pora na wyjaśnienia — oświadczył. — Gdzie jesteśmy?

—Nazywam się Gesti — odparł szary. W świetle lampy jego twarz była biała jak kreda. Głęboko osadzone oczy dziwnie się szklily. — Uratowałem was przed strażnikami, tak? Nie zaprzeczysz temu?

—Masz moją wdzięczność — rzekł Elak. — A więc?

—Potrzebuję pomocy dzielnego człowieka. I dobrze zapłacę. Jeśli cię to interesuje, dobrze. Jeśli nie, dopilnuję, byś bezpiecznie opuścił San-Mu.

—To prawda, że nie mamy zbyt wiele pieniędzy — zastanowił się Elak. Pomyślał o sakiewce w torbie i uśmiechnął się krzywo. — W każdym razie nie tyle, by wystarczyło na dłużej. Może będziemy zainteresowani. Chociaż... —zawahał się. —Tak?

—Ciekawi mnie, w jaki sposób tak szybko pozbyłeś się tego żołnierza, tam w alejce za gospodą.

—Nie sądzę, by było to istotne — szepnął Gesti swym szleszczącym głosem. — Strażnicy są zabobonni. Łatwo wykorzystać tę ich słabość. Niech to ci wystarczy! — Chłodne, szkliste oczy spojrzały wprost na Elaka, który usłyszał jakby ostrzegawczą nutę dźwięczącą mu w mózgu.

Wyczuwał jakieś niebezpieczeństwo. Lecz rzadko skłaniało go to do rozwagi.

—Ile zapłacisz? — zapytał.
—Tysiąc sztuk złota.
—Pięćdziesiąt tysięcy kubków miodu — wtrącił sennie Lycon.
— Zgódź się, Elaku. Zaczekam tu na ciebie.
Elak obrzucił towarzysza spojrzeniem, w którym trudno by się było doszukać cieplejszych uczuć.
—Nic z tego nie dostaniesz — obiecał. — Ani sztuki złota. Co trzeba zrobić dla takiej zapłaty? — zwrócił się do Gestiego.
—Zabić Zenda. — Pozbawione wyrazu oczy tamtego spoglądały obojętnie z nieruchomej twarzy.
—Zabić... Zenda? Zenda? Maga Atlantydy?
—Boisz się? — głos Gestiego był zupełnie beznamiętny.
—Ja się boję — wtrącił Lycon nie podnosząc głowy. — Lecz Elak nie. Może zabić Zenda, a ja tutaj zaczekam.
Elak nie zwracał na niego uwagi.
—Dziwne rzeczy słyszałem o Zendzie, Nieludzka jest jego moc. Od dziesięciu lat nie widziano go na ulicach San--Mu. Ludzie mówią, że jest nieśmiertelny.
—Ludzie... to głupcy. — W głosie Gestiego zabrzmiała pogarda tak głęboka, że Elak spojrzął na niego z nagłym podejrzeniem. Zabrzmiało to tak, jakby Gestiego wypowiadał opinię o obcej sobie rasie. Jak gdyby wyczuwając bieg myśli Elaka, szybko zaczął mówić dalej. — Wykopaliliśmy przejście pod pałacem Zenda. Możemy tam wejść w każdej chwili. Zrobimy to dziś w nocy. Dwa stoją przed tobą zadania: zabić Zenda i strzaskać czerwoną sferę.
—Jesteś bardzo tajemniczy — zauważył Elak. — Co to jest czerwona sfera?
—Leży w najwyższym minarecie pałacu. Z niej bierze się magia Zenda. W pałacu są wielkie bogactwa, Elaku — jeśli takie jest twoje imię. Ten mały tak się do ciebie zwracał.
—Elak, nieuk, rabuś pijaków — odezwał się Lycon, macając swoją tunikę. — Wszystko jedno. Możesz zwracać się do niego którymkolwiek z tych imion, a nie omylisz się. Gdzie moje złoto, Elaku?

Nie czekając jednak na odpowiedź skulił się na krześle, zamknął oczy, otworzył usta i zachrapał. Zaraz potem zwałił się na podłogę i zwinął w kłębek pod stołem.

— Co, do diabła, mam z nim zrobić? — spytał Elak. — Nie mogę go zabrać. Byłby...

—Zostaw go tutaj — zaproponował Gesti.

Chłodne oczy Elaka spojrzały na rozmówcę.

—Będzie tu bezpieczny?

—Całkowicie. Nikt oprócz nas nie zna tego podziemnego przejścia.

—Kto to jest: nas? — spytał Elak.

—Czy musisz wiedzieć? — szepnął Gesti po chwili milczenia.

— Grupa polityczna, mająca na celu zrzucenie z tronu króla San-Mu i Zenda, od którego pochodzi jego władza. Czy masz jeszcze jakieś... pytania?

—Nie.

—Więc chodź.

Podszedł do dębowych drzwi, otworzył je i ruszyli wijącym się w górę korytarzem. W mroku Elak potknął się o stopień. Poczul na dłoni dotknięcie szaty Gestiego i pochwycił ją. W ciemnościach wspinali się po wykutych w skale schodach.

W połowie drogi pod górę Gesti zatrzymał się.

— Nie mogę iść dalej — szepnął. — Droga jest prosta.

Na szczycie schodów znajdziesz kamienną klapę. Otwórz ją. Trafisz do pałacu Zenda. Tu masz broń. — Wcisnął Elakowi w rękę rurkę z chłodnego metalu. — Po prostu ściśnij ją, kierując węższy koniec na Zenda. rozumiesz?

Elak skinął głową, a Gesti, choć pewnie z trudem mógł dostrzeć ruch wśród czerni, szepnął:

— Dobrze. Niech Dagon cię strzeże!

Odwrócił się, Elak słyszał, jak schodzi w dół. Szelest jego kroków cichł w dali. Zamyślony, zaczął wspinać się po schodach. Dagon... czyżby Gesti był czcicielem tego zakazanego, wrogiego bóstwa oceanu? Posejdonowi, łaskawemu bogowi morza oddawano cześć w marmurowych świątyniach na całym kontynencie, natomiast mroczny kult Dagona był

wyklęty od pokoleń. Krążyły opowieści o innej rasie, której był bogiem — rasie, która nie była spokrewniona z człowiekiem, a nawet nie pochodziła z Ziemi...

Ściskając niezwykłą broń Elak ostrożnie wchodził coraz wyżej. W końcu boleśnie uderzył głową o kamień i klnąc cicho pomacał wokół siebie. To była kłapa, o której mówił Gest. Dwa rygle wsunęły się bezgłośnie w dobrze naoliwione otwory. Pod naciskiem ramienia kamienna płyta ustąpiła bez oporu.

Elak wygramolił się do pogrążonej w półmroku komnaty. Była pusta, a światło wpadało przez wyciętą wysoko w murze szczelinę. Podnosząc się wystraszył mysz, która uciekła piszcząc z przerażenia. Najwyraźniej rzadko odwiedzano to pomieszczenie. Na palcach podszedł do drzwi.

Pchnął je delikatnie. Uchyliły się lekko, odsłaniając korytarz słabo oświetlony błękitnym blaskiem padającym z małych kamieni rozmieszczonych w równych odstępach na suficie. Elak podążył wznoszącym się w górę przejściem, czerwona sfera, o której mówił Gest, znajdowała się w najwyższym minarecie. W górę więc.

W ściennej niszy zauważył głowę. Widok poruszył go tak, że zamarł ze zdumienia. Głowa bez ciała, o zapadłych policzkach i prostych zmierzwionych włosach, stała na złotym postumencie w niewielkim zagłębieniu muru. Lecz jej oczy błyszczały tajemniczym życiem! I te oczy obserwowały go!

— Isztar! — szepnął Elak. — Cóż to za czary?

Wkrótce już wiedział. Białe wargi upiora poruszyły się wykrzywiły, po czym rozległ się wysoki, piskliwy krzyk:

— Zendzie! Zendzie! Obcy chodzi po twoim...

Miecz skoczył do przodu. Prawie nie było krwi. Szepcząc modlitwy do wszystkich bogów i bogiń, jakie znał, Elak wyrwał ostrze z oczodołu. Chuda szczeka opadła, pomiędzy zębów wysunął się poczerniały, nabrzmiały język. Czerwona, zasuszona powieka przesłoniła ocalałe oko.

Wśród panującej ciszy słyhać było tylko przyspieszony Oddech Elaka. Przez chwilę przyglądał się przerażającemu

stworowi w niszy, po czym, pewien, że nie stanowi on już zagrożenia, ruszył dalej korytarzem. Czy Zend słyszał krzyk swego strażnika? Jeśli tak, to niebezpieczeństwo mogło czaić się wszędzie.

W poprzek korytarza zwisała srebrzysta zasłona, przecięta jakimś czarnym symbolem. Elak rozchylił ją, spojrzął i zamarł.

Karzeł, nie więcej niż cztery stopy wzrostu, o nieproporcjonalnie wielkiej głowie i szarej, pomarszczonej skórze szedł zwawo ku niemu. Wspomniawszy słyszane czasem plotki Elak domyślił się, że jest to Zend. Za magiem kroczył półnagi olbrzym, niosący na ramieniu bezwładne dziewczęce ciało. Elak odwrócił się zdając sobie sprawę, że zbyt długo zwlekał. Pobiegł z powrotem. Zend rozchyłał już srebrzystą zasłonę.

Z boku otworzył się czarny prostokąt — przejście, które Elak musiał przeoczyć mijając je poprzednio. Skoczył w ciemność, kryjącą przed oczyma wrogów. Kiedy Zend będzie przechodził, zabije go i spróbuje swych szans z olbrzymem. Wspomniawszy gładkie, twarde mięśnie przęcające się pod śmiertelnie bladą skórą tamtego, nie był jednak pewien, czy w ogóle będzie miał jakieś szanse. Teraz dopiero zdał sobie sprawę, że gigant wydał mu się znajomy.

Przypomniał sobie. Dwa dni temu widział go — skazanego przestępcę — ściętego w świątyni Posejdona. Nie mógł się mylić. Olbrzym był tym samym człowiekiem, przywróconym do życia czarami Zenda.

— Isztar! — szepnął spocony. Jak może zabić kogoś, kto już nie żył? — Lepiej mi było wpaść w ręce gwardzistów.

Zawahał się z wyciągniętym do połowy mieczem. Nie warto szukać kłopotów. Bezpieczniej będzie ukryć się, póki Zend nie rozstanie się ze swym upiornym sługą — a wtedy łatwo będzie wbić sześć cali żelaza w ciało maga. Elak nigdy nie szukał zbędnego ryzyka i żywił głęboki szacunek dla swej skóry. Słyszając szuranie stóp Zenda cofnął się w mrok, pozwalając mu przejść. Mag jednak skreślił nagle i zaczął

wspinać się stromym korytarzem, w którym ukrył się Elak. W dłoni Zend trzymał rozświetlający ciemność kamień, lśniący delikatnym, choć niezbyt silnym blaskiem.

Elak rzucił się do ucieczki. Wąski, stromy korytarz skończył się nagle ślepą ścianą. Z tyłu dobiegał coraz głośniejszy odgłos kroków. Rozpaczliwie szperał rękami w ciemności, lecz jeśli w murze była jakaś ukryta sprężyna, to nie potrafił jej znaleźć.

Nagle uśmiech rozjaśnił mu twarz — dostrzegł, jak wąski był korytarz. Gdyby się udało...

Oparł dłonie o ścianę i bez trudu znalazł po przeciwnej stronie oparcie dla bosych stóp. Pospieszenie wspinał się po murze, twarzą w dół, a jego mięśnie napinały się w nadludzkim wysiłku. Dopiero gdy znalazł się powyżej poziomu nawet głowy olbrzyma, zatrzymał się i spojrzął w dół.

Tylko człowiek tak silny jak Elak mógł ważyć się na ten wyczyn, a i tak — gdyby tylko, ważył nieco więcej — poniósłby porażkę, czuł ból w udach i ramionach, gdy napręzał mięśnie, by bez ruchu utrzymać swą pozycję.

Trio zbliżało się. Gdyby spojrzeli w górę, Elak gotów był zeskoczyć i użyć swej klingi lub niezwyklej broni, którą dał mu Gesti. Najwyraźniej jednak nie zauważyli go, ukrytego w cieniu pod wysokim sufitem.

Zdołał przyrzeć się dziewczynie, którą niósł olbrzym. Piękna! Zend naturalnie wybierał dla swych czarów i nekromancji najbardziej atrakcyjne ciała.

— Gdyby nie ten żywy trup — pomyślał — miałbym ochotę spaść Zendowi na głowę. Dziewka z pewnością byłaby wdzięczna.

Na razie jednak była nieprzytomna. Długie, czarne rzęsy rzucały cienie na policzki, ciemne loki kołysały się w takt kroków olbrzyma. Zend wysunął rękę i dotknął ściany. Gładka kamienna powierzchnia uniosła się i szary karzeł wszedł w kryjącą się za nią ciemność. Gigant ruszył za nim, a ukryte drzwi opadły na miejsce.

Klnąc pod nosem Elak opadł bezszelestnie na podłogę

*— Elak z Atlantydy

i wytarł ręce o skórzaną tunikę. Dłonie krwawiły a tylko twardość podeszew uratowała jego stopy przed podobnym losem. Odczekawszy chwilę odnalazł w ciemności ukrytą sprężynę.

Drzwi uniosły się z cichym szumem. Elak stanął u wejścia do krótkiego korytarza, zamkniętego kolejną srebrzystą zasłoną z czarnym symbolem. Ruszając naprzód zauważył z ulgą, że drzwi pozostały otwarte.

Za srebrzystą zasłoną była komnata — ogromna, wysoko sklepiąca, z wielkimi, otwartymi oknami, przez które wpadał chłodny nocny wiatr. Przestrzeń rozjaśniał blask roziskrzonych klejnotów formujących niezwykle arabeski w ścianach i suficie. Przez jedno z okien Elak dostrzegł żółtą kulę wschodzącego właśnie księżyca. Trzy przesłonięte kotarami przejścia łamały gładką powierzchnię przeciwległej ściany. Sama komnata, bogato ozdobiona dywanami, jedwabiami i licznymi ornamentami, była pusta. Elak bezgłośnie pokonał odległość dzielącą go od pierwszego przejścia i zajrzał za zasłonę.

Oślepił go jaskrawy blask. Dostrzegł niewyraźną, przelotną wizję straszliwych potęg, związanych, lecz ogromnych, walczących, by zerwać trzymające je kajdany. A przecież w istocie nie widział niczego — tylko pusty pokój. Wiedział jednak, że nie jest pusty! Niewyobrażalna moc promieniowała z przejścia, poruszając każdy atom jego ciała. Lśniące stalowe ściany odbijały jego zdumioną twarz.

A na podłodze, w samym środku komnaty, leżał niewielki kamień koloru gliny. To wszystko. Lecz taka moc emanowała z tego kamienia, że Elak puścił kotarę i cofnął się z oczyma rozszerzonymi przerażeniem. Szybko zwrócił się ku drugiej zasłonie i zajrzał za nią ostrożnie.

Zobaczył niewielki pokój pełen alembików, retort i innych magicznych przyrządów Zenda. Błady olbrzym stał nieruchomo w kącie. Na niskim blacie leżała wciąż nieprzytomna dziewczyna, a nad nią pochylał się karzeł z kryształową fiolką w dłoni. Przechylił ją, spadła kropla.

Elak dosłyszał szorstki głos Zenda.

— Nowa służka... nowa posłuszna mi dusza. Kiedy jej duch się uwolni, pošę go na Antaresa. Jest tam planeta, gdzie, jak słyszałem, kwitnie magia. Może uda się poznać kilka sekretów...

Elak przesunął się do trzeciej niszy, uniósł kotarę i zobaczył strome schody. Z góry sączył się różowoczerwony blask. Przypomnił sobie słowa Gestiego: Strzaskaj czerwoną sferę! Z niej bierze się magia Zenda.

Dobrze! Najpierw rozbije sferę, a potem, bez czarów na swoją obronę, Zend będzie łatwą ofiarą. Zwinnym krokiem Elak ruszył w górę. Z tyłu dobiegł go gardłowy krzyk.

— Niech Eblis, Isztar i Posejdon chronią mnie teraz! — mruknął pospiesznie. Był już u szczytu schodów, w wysoko sklepionej komnacie, do której przez wąskie okna wpadało światło księżyca: w sali czerwonej sfery.

Lśniaca, błyszcząca migotliwym, różowawym światłem wielka kula spoczywała na srebrzystej podstawie. Miała średnicę równą połowie wzrostu Elaka, wydzielala delikatny, lecz hipnotyzująco intensywny blask. Przez chwilę Elak stał bez ruchu, zafascynowany.

Czyjeś kroki zadudniły na stopniach. Obejrzał się i zobaczył, jak kredowobiały olbrzym wspina się na górę. Jaskrawa blizna okręzała jego szyję. Nie mylił się więc. To był przestępca, którego egzekucję oglądał, przywrócony do życia magią Zenda. W obliczu rzeczywistego niebezpieczeństwa Elak zapomniał o bogach i dobył miecza. Modlitwa, jak miał już okazję się przekonać, nie powstrzyma ciosu sztyletu ani palców dusiciela.

Bez dźwięku wielkolud skoczył na Elaka, który uchylił się przed jego wyciągniętymi łapami i wbił miecz głęboko w trupio-białą pierś. Ostrze wygięło się niebezpiecznie, wyrwał je w ostatniej chwili, ratując prze pęknięciem. Brzęknęło i zadrzało. Jego przeciwnik nie wyglądał na rannego, choć cios przebił mu serce. Wcale nie krwawił.

Starcie nie trwało długo i zakończyło się przy oknie. Prze-

ciwnicy przesuwali się i przepychali po pokoju, w bitewnej gorączce wyrywając przewody i rury. Nagle czerwone światło kuli przybladło i zgasło. Równocześnie Elak poczuł, jak chłodne ramiona olbrzyma chwytają go w pasie.

Padł, zanim zdążyły się zacisnąć. Księżyc zajrzał w wąskie okno tuż obok niego, Elak rzucił się rozpaczliwie do nóg przeciwnika i szarpnął z całej siły. Ożywiony stwór zaczął się przewracać i upadł tak, jak pada drzewo, nie próbując osłabić siły uderzenia. Wyciągnął ręce szukając gardła Elaka, ten jednak pchał jak oszalały to blade, zimne, muskularne ciało, wciskając je w wąskie okno. Straciło równowagę, przechyliło się — i wypadło.

Olbrzym nie wydał krzyku. Po chwili Elak dosłyszał ciężkie uderzenie, wstał, podniósł broń i głośno podziękował Isztar za ocalenie. „Drobna grzeczność nic nie kosztuje”, pomyślał, „a choć uratowałem się nie dzięki bożej pomocy, a własnym sprytem, to przecież nigdy nic nie wiadomo”. Ponadto czekały go jeszcze inne niebezpieczeństwa, a jeśli bogowie są kapryśni, to boginie z pewnością jeszcze bardziej.

Głośny krzyk z dołu sprawił, że z mieczem w dłoni skoczył do stopni. Zend pędził w górę, a jego szara twarz zmieniła się w maskę przerażenia. Na widok Elaka karzeł zawahał się i zawrócił. Gdzieś z bliska dobiegała wrzawa wielu głosów. Elak zatrzymał się u stóp schodów.

Z korytarza, którym Elak dotarł do wielkiej komnaty, wytoczyła się horda potwornych istot. Wśród nich szedł Gest i w rozwianych szarych szatach i z nieruchomą jak zawsze twarzą. Za nim podążała, roiła się i podskakiwała czysta groza. Z dreszczem obrzydzenia Elak przypominał sobie szepty, które słyszał w podziemnej grocie, wiedział teraz, jakie stworzenia wydawały z siebie te dźwięki.

Rasa, która nie pochodziła z ludzkiego ani nawet ziemskiego łona...

Ich twarze były ohydnyymi maskami rybiego kształtu, lecz z papuzimi dziobami i wielkimi oczyma pokrytymi cienką błoną. Wijące się macki sterczały nieregularnie z bezkształt-

nych ciał, na poły twardych, na poły zbudowanych z galaretowatej masy podobnej do opalizującego śluzu meduz. Stwory te nie pochodziły ze zdrowego wszechświata, sycząc obrzydliwie sunęły przez komnatę. Na próżno Elak uderzał bronią, wytrącono mu ją, gdy padł na podłogę. Walczył przez chwilę, słysząc obok chrapliwe, przerażone wrzaski czarnoksiężnika. Pochwyciły go zimne macki, oślepiając w ciasnym uchwycie. Nagle krępujący go ciężar zniknął. Odkrył, że ręce i nogi ma mocno związane powrozem. Po krótkiej chwili zaprzestał bezowocnych prób uwolnienia.

Obok niego leżał skrepowany ciasno mag. Koszmarne stwory sunęły szeregiem w stronę komnaty, w której Elak wyczuł obecność wielkiej mocy — tam gdzie leżał nieduży brązowy kamień. Zniknęły za zasłoną, a przy Elaku i Zencie pozostał jedynie Gest. Spoglądał na więźniów, a jego twarz była całkowicie nieruchoma.

— Cóż to za zdrada? — spytał bez wielkiej nadziei Elak.

— Uwolnij mnie i daj mi moje złoto.

Lecz Gest odparł po prostu:

—Nie będzie ci potrzebne. Wkrótce zginiesz.

—Co? Dlaczego...?

—Potrzebna jest świeża ludzka krew. Dlatego nie zabiliśmy ciebie ani Zenda. Potrzebujemy waszej krwi. Niedługo będziemy gotowi.

Zza srebrzystej zasłony dobiegł gwar syczących głosów.

—Co to za demony? — spytał niepewnie Elak.

—Jego pytasz? — Zawołał czarnoksiężnik. — Czy nie wiedziałeś...

Gesti uniósł okryte rękawiczkami dłonie i zdjął swoją twarz. Elak zagryzł wargi, by zdusić krzyk przerażenia. Teraz wiedział, czemu ta twarz pozostawała niezmiennie nieruchoma. To była maska.

Za nią krył się papuzi dziób i rybnie oczy, które poznał aż za dobrze. Szara szata spłynęła na podłogę, rękawiczki o-padły z giętkich czubków macek. Z potwornego dzioba dobiegł szept:

— Teraz wiesz, komu służyłeś.

Stwór, który nazywał siebie Gestim, odwrócił się i przesu-
nął — tylko tak można opisać jego sposób poruszania — ku
zasłonie, za którą zniknęli jego pobratymcy, by się do nich
przyłączyć.

Zend spojrzął na Elaka.

— Nie wiedziałeś? Służyłeś im i nie wiedziałeś?

— Nie, na Isztar! — zaklął Elak. — Czy sądzisz, że po-
mógłbym tym... tym... czy są? Co chcą zrobić?

— Przetocz się tutaj — polecił Zend. — Może zdołam ro-
zluźnić twoje więzy.

Elak usłuchał i palce maga zwinnie zbadały węzły.

— Wątpię. Nie ludzkie ręce wiązały te sznury. Ale...

— Czym oni są? — spytał znowu Elak. — Powiedz, za-
nim oszaleję od myśli, że to piekło rzuciło na Atlantyde
swoje legiony.

— To dzieci Dagona — wyjaśnił Zend. — Ich siedziby
leżą w głębinach oceanu. Czy nigdy nie słyszałeś o nieziem-
skich istotach, które oddają cześć Dagonowi?

— Tak. Ale nigdy nie wierzyłem...

— Och, jest ziarno prawdy w tej opowieści. Całe epoki,
nieprzeliczone wieki temu, zanim jeszcze pojawił się czło-
wiek, istniały tylko wody. Nie było lądu. Ze śluzu wyklu-
ła się rasa istot żyjących w zatopionych otchłaniach oce-
anu, nieludzkich stworów czczących Dagona, swego boga.
Kiedy w końcu wody cofnęły się i dały miejsce wielkim
kontynentom, istoty te zostały zepchnięte w najdalsze głę-
bie. Ich wielkie królestwo, kiedyś rozciągające się od bie-
guna do bieguna, kurczyło się, w miarę jak wylaniały się
lądowe masy. Pojawiła się ludzkość — lecz skąd, tego
nie wiem — i powstała cywilizacja. Nie ruszaj się. Te
przeklęte węzły...

— Nie wszystko z tego rozumiem — stwierdził Elak mru-
gając, gdy paznokieć maga wbił się w jego nadgarstek. —
Ale mów dalej.

— Te stwory nienawidzą człowieka, gdyż uważają, że to
człowiek odebrał im królestwo, Ich największą nadzieją
jest

ponowne zatopienie kontynentów, tak że wody znów zafalują na całej ziemi i nie przeżyje żadna ludzka istota, ich potęga znowu zapanuje nad światem, jak panowała w dawnych wiekach. Nie są ludźmi, rozumiesz, i czczą Dagona. Nie chcą, by na ziemi uznawano innych bogów: Isztar, mrocznego Eblisa, nawet Posejdona jasnych mórz... Teraz, obawiam się, zrealizują swe plany.

—Nie, jeśli tylko się uwolnię. Węzły trzymają?

—Trzymają — odparł posepnie mag. — Lecz odplątałem jeden powróż. Palce otarłem już do krwi. Czy... czy czerwona kula jest rozbita?

—Nie — rzekł Elak. — Kiedy walczyłem z twoim niewolnikiem, wyrwaliśmy kilka rur i światło zgasło. Czemu pytasz?

—Dzięki niech będą bogom! — zawołał rozgorączkowany Zend. — Jeśli zdołam naprawić szkody i znowu ją zapalić, dzieci Dagona zginą. Po to istnieje kula. Wysyła promienie, które niszczą ich ciała. W inny sposób nie da się ich unicestwić, czy też prawie się nie da. Gdyby nie ta sfera, już dawno zaatakowałiby mój pałac i zabili mnie.

—Mają tunel pod piwnicami — poinformował Elak.

—Rozumiem. Lecz nie ważyli się tu wkroczyć, dopóki świeciła kula. Promienie jej światła zabiłyby ich. Przekleństwo na te węzły! Jeśli zrealizują swój zamiar...

—Jaki zamiar? — spytał Elak, choć domyślał się już odpowiedzi.

—Zatopienia Atlantydy! Ta wyspa-kontynent zapadłaby się już dawno, gdybym nie postawił swojej magii i wiedzy przeciwko dzieciom Dagona. To władcy trzęsień ziemi, a Atlantyda spoczywa na niezbyt solidnych fundamentach. Moc tych potworów wystarcza, by na zawsze pogrążyć ją w morzu. Lecz w tamtej komnacie — Zend skinął głową w stronę zasłony, za którą skryły się wodne monstra — w tamtej komnacie kryje się potęga daleko większa od ich siły. Czerpałem energię z gwiazd i źródeł kosmicznych leżących poza wszechświatem. Nic nie wiesz o mojej mocy.

Wystarczy jej aż nadto, by utrzymać Atlantyde na jej fundamencie, nieosiągalną dla pomiotu Dagona. Te potwory zniszczyły już inne kontynenty.

Mag szarpał za sznury, a gorąca krew spływała na dłonie Elaka.

—Tak... inne lądy. Istniały rasy żyjące na ziemi, zanim nadszedł człowiek. Moja moc ukazała mi słoneczną wyspę leżącą niegdyś daleko na południu, wyspę zamieszkaną przez istoty wysokie jak drzewa, o ciałach twardych niby kamień, a kształtach tak niezwykłych, że nie pojąłbyś ich. Wody podniosły się i zalały tę wyspę, a lud jej wyginął. Widziałem ogromną górę strzelającą z bezmiaru falujących wód, gdy Ziemia była młoda. Wieże i minarety wieńczyły jej wierzchołek, a w nich mieszkały istoty podobne do sfinksów, o głowach zwierząt i bogów, których nie zdołały ocalić szerokie skrzydła, gdy nadeszła katastrofa. W ruinach legło miasto sfinksów i pograżyło się w oceanie, zniszczone przez dzieci Dagona. Było też...

—Czekaj! — szept Elaka przerwał opowieść maga. — Czekaj! Widzę ratunek, Zendzie!

—Co? — czarnoksiężnik przekręcił głowę i także dostrzegł niską, podobną do małpy postać mężczyzny biegnącego ku nim cicho z nożem w dłoni. To był Lycon pozostawiony przez Elaka, gdy spał w podziemnej kryjówce Gestiego.

Błysnęło ostrze i po chwili więźniowie byli wolni.

— Na górę, magu — rzucił pośpiesznie Elak. — Naprawiaj swoją czarodziejską kulę, skoro twierdzisz, że jej światło zabije te potwory. My będziemy bronić schodów.

Szary karzeł bez słowa pognał stopniami w górę i zniknął. Elak spojrział na Lycona.

— Jak, u licha...

Lycon zamrugał wielkimi, niebieskimi oczami.

— Sam właściwie nie wiem, Elaku. Kiedy wynosiłeś mnie z tawerny i ten żołnierz uciekł z wrzaskiem, zobaczyłem coś, od czego zrobiłem się taki pijany, że nie mogłem sobie przy-

pomnieć, co to było. Uświadomiłem sobie dopiero kilka mi-nut temu, w jakimś podziemiu. To była twarz jakby jakiegoś maskarona, ze strasznym, wielkim dziobem i oczami jak u Węża Midgardu. Przypomniałem sobie, że widziałem, jak Gesti kładzie maskę na tę ohydłą twarz tuż przed tym, jak odwróciłeś się w tamtej alei. Wiedziałem wtedy, że Gesti z pewnością jest demonem.

—Więc przyszedłeś tutaj — stwierdził cicho Elak. — Miałem szczęście, że się zjawiłeś. Ja... o co chodzi? — Oczy Lycona wyszły niemal z orbit.

—Czy to jest twój demon? — spytał niski mężczyzna wyciągając rękę.

Elak obejrzał się i uśmiechnął ponuro. Przed nim, przestraszona i oszołomiona, stała dziewczyna, na której eksperymentował Zend, której duszę chciał uwolnić od ciała, by mu służyła. Jej oczy — miękkie i ciemne — były teraz szeroko otwarte, a biała skóra lśniła na tle srebrzysto-czarnej zasłony.

Zbudziła się najwyraźniej i podniosła z twardego posłania.

Elak rozkazującym gestem uniósł rękę nakazując milczenie, lecz było za późno.

Kim jesteś? — spytała dziewczyna. — Zend mnie porwał. Czy przybyłeś, by mnie uwolnić? Gdzie...

Szybkim ruchem Elak pochwycił ją, pociągnął i pchnął na schody. Miecz błysnął mu w dłoni. Uśmiechnął się przez ramię.

— Jeśli przeżyjemy, unikniesz Zenda i jego czarów — powiedział słysząc wybuch syczących głosów i szelest nadciągającej hordy napastników. Nie odwrócił się jednak. — Jak ci na imię? — spytał.

— Coryllis.

— Uważaj, Elaku! — krzyknął Lycon.

Elak odwrócił się. Błysnął miecz jego przyjaciela, odcinając wyciągniętą mackę. Odrąbany koniec upadł na podłogę, gdzie wił się i skręcał w obrzydliwych drgawkach. Przeraza-

jące, demoniczne twarze potworów spoglądały w oczy Elaka. Dzieci Dagona napłynęły niepowstrzymaną masą, ich zimne oczy lśniły rozwarłe szeroko, macki wyciągały się, opalizujące cielska przemieszczały, pulsując jak galareta. Elak, Lycon i dziewczyna, odepchnięci straszliwą falą, musieli cofnąć się w górę, na schody.

Klnąc niezrozumiale, Lycon zamachnął się mieczem, lecz silna macka wyrwała mu go z ręki. Elak starał się własnym ciałem osłaniać Coryllis, czuł, że pada miażdżony wstrętnym ciężarem zimnych, obrzydliwych cielsk, skręcających się i wijących odrażająco. Uderzył rozpaczliwie — i poczuł, jak twarda, chłodna powierzchnia rozpuszcza się jak śnieg pod jego dotykiem.

Przygniatający go ciężar zniknął — potwory cofały się, odsuwały, pędziły, skakały, staczały się ze schodów, krzycząc szaleńczo i przenikliwie, czerniąc i topniejąc w bezkształtne kałuże śluzu, ściekające po stopniach niby szary strumyk.

Elak zrozumiał, co się stało, Różowoczerwony blask znowu wypełnił przestrzeń wokół niego. Mag naprawił swą czarodziejską kulę i siła jej promieni niszczyła koszmarną groźbę, która wypełzła z głębin.

W ciągu kilku sekund było już po wszystkim. Nie pozostał żaden ślad po hordzie napastników, jedynie szare kałuże śluzu. Elak zdał sobie sprawę, że klnie cicho, i nagle zaczął odmawiać modlitwę. Z całą szczerością podziękował Isztar za ocalenie.

Lycon podniósł swój miecz i podał Elakowi rapier.

—Co teraz? — spytał.

—Wynosimy się! Zabieramy Coryllis. Nie ma sensu zwlekać.

Fakt, pomogliśmy czarnoksiężnikowi, lecz najpierw z nim walczyliśmy. Może o tym pamiętać. Bylibyśmy głupcami czekając, aby się przekonać, czy zna uczucie wdzięczności.

Uniósł dziewczynę, która zdążyła zemdleć, i szybko zbiegł za Lyconem po schodach. Przeszli przez wielką komnatę i zanurzyli się w ciemność prowadzącego do niej korytarza.

Pięć minut później leżeli już wyciągnięci pod drzewem w jednym z licznych parków San-Mu. Elak porwał z jakiegoś balkonu jedwabną szatę i Coryllis okryła nią swe szczupłe ciało. Gwiazdy błyszcząły chłodno nad ich głowami, obojętne na los Atlantydy — gwiazdy, które lśnić będą jeszcze tysiące lat później, gdy po Atlantydzie nie pozostanie nawet wspomnienie.

Elak nie myślał o tym. Kłębkiem trawy wytarł ostrze miecza, a Lycon, który wyczyścił już swój, wstał i osłaniając oczy dłonią zaczął się rozglądać. Po chwili mruknął coś pod nosem i równymi susami pognał przed siebie.

— Gdzie on idzie? — zastanowił się Elak spoglądając za towarzyszem. — Tam jest... Na Isztar! Pobiegnij do karczmy! Ale przecież nie ma pieniędzy! Jak...

Nagła myśl przyszła mu do głowy i szybko pomacał swoją torbę. Potem zaklął.

— Pijana małpa! Kiedy rozcinał mi więzy w pałacu maga, ukradł sakiewkę! Ja mu...

Skoczył na nogi, by pobiec za Lyconem, lecz miękkie ramiona otoczyły jego nogę. Spojrzał w dół.

— Co?

— Zostaw go — powiedziała z uśmiechem Coryllis. — Zasłużył na swój miód.

— Tak... ale co ze mną? Mnie też...

— Zostaw go — szepnęła.

Długo jeszcze Lycon miał się dziwić, czemu Elak nigdy nie gniewał się o skradzioną sakiewkę.

MIESIĄC SMOKA

1. Elak z Atlantydy

*Ramiona silne rozsypane w proch
I twarz wspaniała zmieniona w mrok nocy...
Po cóż nam całun, co go wieki zmięły,
Po cóż nam szukać w chmurach, co przemknęły,
Widoku władców potężnych i mocy?*

Chesterton

Wrzawa rozbrzmiewała w nadbrzeżnej tawernie. Wielki port Posejdonii rozciągał się w mroku ku Południowemu wschodowi, lecz nad wodą jasno było od latarni i pochodni. Dzisiaj przyplęły statki i ta karczma, podobnie jak wszystkie inne, grzmiała rubasznym śmiechem i marynarskimi przekleństwami. Kuchenny dym i woń sezamu wypełniały niską salę mieszając się z zapachem wina. Smagli żeglarze południa bawili się tej nocy.

W ściennej niszy umieszczono wizerunek patrona miasta, Posejdonia ze słonecznych mórz. Łatwo było zauważyć, że przed wypiciem każdy niemal wylewał kroplę czy dwie na podłogę, w stronę posągu boga.

Tęgi, niewysoki mężczyzna siedział w kącie i mruczał coś pod nosem. Małe oczka Lycona z niesmakiem obserwowały salę gościnną. Jego sakiewka była tym razem — wyjątkowo — ciężka od złota, tak jak i Elaka, jego towarzysza.

A jednak wolał pić i szukać dziewczek w tej właśnie hałaśliwej i cuchnącej tawernie, które to upodobanie przepelniało Lycona irytacją i rozgoryczeniem. Splunął, burknął coś i obejrzał się, by spojrzeć na Elaka.

Ten zaś, szczupły, o wilczej twarzy, kłócił się z kapitanem statku, wielkim i potężnie umięśnionym, przy którym on sam wydawał się karłem. Między nimi dwoma siedziała dziewczka z tawerny, zadowolona z okazywanego jej zainteresowania. -Skośne oczy spoglądały chytrze na obu mężczyzn.

Żeglarz, Drezzar, popełnił błąd nie doceniając Elaka. Pożądliwie spoglądał na dziewczynę i nie zważając na prawo pierwszeństwa Elaka zdecydowany był zdobyć ją dla siebie. W innych okolicznościach Elak zostawiłby pewnie Drezzarowi skośnooką dziewczkę, lecz kapitan odezwał się obraźliwie. Elak pozostał więc przy stole, spoglądając czujnie i luzując miecz, w pochwie.

Lycon obserwował Drezzara spod oka. Marynarz miał o-paloną, masywną twarz, zmierzwioną ciemną brodę, nierówną bliznę ciągnącą się od skroni po szczękę, tak że był ślepy na jedno oko. Krzyknął o więcej wina. Wiedział, że wkrótce błyśnie stal.

Walka jednak zaczęła się niespodziewanie. Stuknął przewrócony stółek, popłynął strumień szorstkich przekleństw i miecz Drezzara wznosił się w górę, płonący w świetle lamp. Dziewka krzyknęła piskliwie i uciekła, nie lubiąc przelewu krwi — chyba że z daleka.

Drezzar zaatakował. Jego miecz błysnął w zdradziecko niskim cięciu, które rozprułoby Elakowi brzuch, gdyby klinga sięgnęła celu. Szczuplejszy mężczyzna wygiął swe ciało szybkim płynnym ruchem, zamigotała stal i ostrze przeorało czaszkę przeciwnika.

Walczyli w milczeniu. To, bardziej niż cokolwiek innego, kazało Elakowi docenić swego przeciwnika. Twarz Drezzara nie wyrażała żadnych uczuć, tylko blizna zbiegała wyraźnie. Niewidzące oko zdawało się nie przeszkadzać mu w najmniejszym stopniu.

Lycon czekał na okazję, by wbić swoją klingę w plecy marynarza. Wiedział, że Elak nie będzie zadowolony, ale był realistą.

Sandał Elaka pośliznął się w kałuży rozlanego trunku, a on sam rzucił się rozpaczliwie w bok próbując utrzymać równowagę. Bez skutku. Mocny cios miecza wytrącił mu z dłoni broń i Elak upadł. Jego głowa stuknęła mocno o przewrócony stołek.

Drezzar wyprostował się, spojrzał wzdłuż klingi i natarł. Lycon pędził ku niemu, lecz wiedział, że nie zdąży dobiec na czas.

I wtedy... od strony otwartych drzwi nadeszło niewyjaśnione. Coś jakby promień jaskrawego światła przemknęło przez powietrze i Lycon myślał początkowo, że to rzucony sztylet. Lecz był to... płomień!

Smuga białego ognia nie z tej ziemi! Pochwyciła miecz Drezgara, owinęła się wokół ostrza, wyrwała broń z ręki. Rozbłysła oślepiająco jaskrawym światłem, rysując wyraziście najdrobniejsze szczegóły sali. Bezżyteczny miecz opadł na podłogę — poczerniały, skręcony kikut stopionego metalu.

Drezzar zaklął głośno. Spojrzał na swoją broń, a jego opalona twarz zbladła. Odwrócił się i rzucił do ucieczki przez boczne drzwi.

Płomień zgasł. U wejścia stał człowiek — potężna, krepą postać okryta tradycyjną brunatną szatą druidów.

Lycon zatrzymał się z trudem i opuścił miecz.

— Dalan... —szepnął.

Elak wstał, z wyrazem bólu rozcierając bolącą głowę. Na widok druida zmienił się na twarzy. Bez słowa skinął na Lycona i ruszył do drzwi.

Po chwili cała trójka zniknęła w ciemnościach nocy.

2. Smoczy tron

*Oto jesteśmy w naszym królestwie
By włożyć na skronie koronę...
I z nagim mieczem stajemy przed Radą,
A wąż zwinięty pod tronem.
Oto jesteśmy w naszym Królestwie!*

Kipling

— Przynoszę ci tron — rzekł Dalan. — Lecz musisz utrzymać go mieczem.

Stali na krańcu falochronu, spoglądając na zalane księżycowym światłem wody portowej zatoki. Gwar miasta wydawał się z tego miejsca bardzo odległy.

Elak popatrzył na wzgórze. Za nimi, setki mil na północ, było życie, które pozostawił za sobą, gdy opuścił Cyrenę, by przypasać miecz i szukać przygód. W żyłach Elaka płynęła krew królów Cyreny, najbardziej na północ wysuniętego państwa Atlantydy. I gdyby nie fatalna kłótnia z ojczyzną, Norianem, siedziałby teraz na smoczym tronie. Lecz Norian zginął i brat Elaka, Orander, włożył koronę.

— Orander włada Cyreną — oznajmił. — Czy proponujesz mi, bym wzniecił bunt przeciw memu bratu? — Jego zimne oczy zabłyśły gniewem.

— Orander nie żyje — odparł cicho druid. — Elaku, opowiem ci pewną historię, historię magii i zła, które rzuciło cień na Cyrenę. Lecz najpierw...

Sięgnął ręką i spomiędzy fałd swej bezkształtnej brunatnej szaty wyjął niewielką kryształową kulę. Podniósł ją na dłoń i chuchnął. Czysta powierzchnia zmętniała i zaszła mgłą, zdającą się wypełniać całe wnętrze kuli. Druid trzymał w dłoni sferę wirujących, szarych chmur.

Potem w kuli zaczął formować się obraz, maleńki, lecz żywy i wyraźny. Elak spojrzał uważnie. Zobaczył tron i człowieka, który na nim siedział.

— Na południe od Cyreny, za górami, leży Kiriath — po-

wiedział Dalan. — Władał tam Sepher. I Sepher nadal zasiada na tronie tej krainy, lecz nie jest już człowiekiem.

We wnętrzu kuli twarz Sephera powiększyła się nagle, zdziwiająco czysta. Elak cofnął się mimo woli i zacisnął wargi. Na pierwszy rzut oka Sepher zdawał się niezmienny — czarnobrody, smagły wielkolud z bystrymi oczami jastrzębia, lecz Elak wiedział, że spogląda na istotę bardziej odrażającą niż cokolwiek na tej ziemi. Istota ta nie była zła tak, jak on rozumiał zło, lecz wznosiła się ponad dobro i zło, ponad człowieczeństwo i boskość. Przybysz z Zewnętrznych Światów dotknął Sephera i zagarnął umysł króla Kiriath. I Elak pojął, że jest to stwór straszniejszy od wszystkiego, co w życiu widział.

Dalan schował kryształ.

—Z otchłani nieznanego przybyła istota zwana Karkorą — oświadczył spokojnie. — Nie wiem, czym jest. Badałem runy, lecz nie powiedziały mi wiele. Ognie na ołtarzach szeptały o cieniu, który ogarnie Cyrenę i może rozszerzyć się na całą Atlantyde. Korkora Blady nie jest człowiekiem i nie jest demonem. Jest... obcy, Elaku.

—Co z moim bratem?

—Widziałeś Sephera. Jest opętany, stał się nosicielem istoty zwanej Karkorą. Nim opuściłem Orandera, on także... się zmienił.

Na twarzy Elaka drgnął mięsień. Druid mówił dalej.

— Orander widział swą zgubę. Każdego dnia rosła w nim siła Karkory i dusza twego brata coraz bardziej cofała się w ciemność. Zginął... z własnej ręki.

Twarz Elaka nie zmieniła wyrazu. Przez kilka minut jednak milczał i smutek odbijał się w jego szarych oczach. Lycon odwrócił się i zapatrzył w morze.

— Orander przesłał ci wiadomość — ciągnął Dalan. — Ty jeden w całej Atlantydzie pozostałeś z królewskiej linii Cyreny. Do ciebie więc należy korona. Niełatwo będzie ją utrzymać, Karkora nie jest jeszcze pokonany. Lecz pomogą ci moje czary.

— Proponujesz mi smoczy tron? — spytał Elak.

Druid skinął głową.

—Lata zmieniły mnie, Dalanie. Przeszedłem przez Atlantyde jak bezdomny włóczęga albo gorzej. Daleko za sobą pozostawiłem swe dziedzictwo. Zapomniałem o nim. Nie jestem tym samym człowiekiem, który wiele lat temu opuścił Cyrenę. — Elak zaśmiał się cicho, z odrobiną goryczy. Ponad krawędzią falochronu spoglądał na odbicie swej twarzy w mrocznych wodach. — Król tylko może zasiąść na smoczym tronie. Ja byłbym jedynie błaznem. I to marnym.

—Głupcze! — szepnął druid i gniew zabrzmiał w jego głosie. —

Ślepiec, szalony dureń! Czy sądzisz, że druidzi ofiarowaliby Cyrenę niewłaściwemu człowiekowi? Krew królów płynie w twoich żyłach, Elaku. Nie możesz się jej wyprzeć. Musisz usłuchać.

—Muszę? — słowo padło jakby od niechcenia, lecz Lycon dosłyszał w głosie przyjaciela napięcie, sprężające mu mięśnie. — Muszę? — zapytał Elak. — Decyzja należy do mnie, druidzie. Na Midera! Tron Cyreny wiele dla mnie znaczy. I dlatego nie siądę na nim!

Żabia twarz Dalana wyglądała strasznie w świetle księżyca. Wysunął do przodu swą łusą, lśniącą czaszkę i zacisnął krótkie, grube palce.

—Mam ochotę użyć na tobie magii, Elaku — powiedział chrapliwie.

— Nie jestem...

—Słyszałeś moją odpowiedź.

Druid zawahał się. Spojrzał posępnie na Elaka, po czym odwrócił się bez słowa i odszedł w noc. Odgłos jego kroków rozpląnął się w ciemności.

Elak stał nieruchomo i patrzył na port. Policzki mu poszarzały, usta stały się białą linią cierpienia. Odwrócił się nagle i spojrzał na wzgórze Posejdonii.

Nie widział ich jednak. Jego spojrzenie ominęło je, pobiegło dalej, dalej, poprzez całą Atlantyde ku królestwu na północy, ku Cyrenie i jej smoczemu tronowi.

3. Bramy snu

Upiora, ghoula, skrzata i dzina Dziś wieczór będziemy gościć, Weszliśmy bowiem w Najstarszą Krainę, Gdzie rządzą siły Ciemności.

Kipling

Marzenia mąciły spokojny sen Elaka tej nocy — przelotne, nieuporządkowane wizje wielu rzeczy i spraw. Spoglądał na biały, oświetlony księżycowym światłem sufit swego mieszkania. I nagle — coś się zmieniło. Znajomy pokój zniknął. Światło istniało nadal, lecz odmienione przedziwnie, szare i nierzeczywiste. Przemykały obok niego płaszczyzny i kąty nie z tego świata, a w uszach narastało głuche brzęczenie. Przeszło w wysokie, przenikliwe wycie, po czym w końcu ucichło.

Oszalałe płaszczyzny ułożyły się. We śnie Elak zobaczył potężną turnię, strzelającą ku chłodnym gwiazdom — kolosalną na tle zębatego łańcucha gór. Ich szczyty białły śniegiem, lecz czerni turni pozostawała nienaruszona. Na jej szczycie wznosiła się wieża, maleńka z tej odległości.

Zdawało się, że prąd porывa Elaka i niesie go szybko na przód. U podstawy turni dostrzegł potężne żelazne odrzwia. Drgnęły i rozsunęły się, a on przepłynął przez ziejący otwór.

Zamknęły się za nim bezszelestnie.

Teraz dopiero Elak wyczuł Obecność. Otaczała go atramentowa czern, lecz wśród mroku trwało jakby drżenie, wrażenie ruchu, które nie mogło być złudzeniem.

Nagle, bez ostrzeżenia, ujrzał Błądą Istotę!

Biała, lśniąca figura pojawiła się nagle. Jak była wysoka, daleka czy bliska, nie potrafił stwierdzić. Dostrzegał tylko zarys sylwetki. Rozpełzły, ohydny połysk zimnego światła falował nad istotą, zdawała się tylko białym cieniem. Lecz cieniem trójwymiarowym, żywym!

Stanął wobec nieziemskiej grozy Karkory Bładego. Istota powiększyła się jakby. Elak wiedział, że jest obserwowany, zimno i beznamiętnie. Nie mógł już polegać na swoich zmysłach. Wydawało się mu, że widzi Karkorę nie tylko z pomocą wzroku... i przestał odczuwać swe ciało.

Wspomniał Dalana i jego boga. Krzyknął bezgłośnie, wzywając jego pomocy.

Budząca drzenie odraza, jaka go przepelniała, nie minęła, lecz groza rozdzierająca umysł nie była już tak silna. Znow wewzał Midera, zmuszając się do skupienia wszystkich myśli na bogu druidów.

I jeszcze raz. Aż bezgłośnie, tajemniczo, wyrosła wokół niego ściana płomieni, przesłaniając obraz Karkory. Ciepłe, migotliwe ognie Midera, ziemskie i przyjazne, stworzyły ochronną barierę, zbliżyły się i pociągnęły go z powrotem. Rozgrzały mu duszę, zmrożoną strasliwą grozą. Zmieniły się w światło słońca, w słoneczne promienie wpadające ukosem przez okno, pod którym leżał na swym niskim łożu, rozbudzony i drżący.

— Na Dziewięć Piekieł! — zaklął i szybko skoczył na nogi. — Na wszystkich bogów Atlantydy! Gdzie mój miecz? — Znalazł go i machnął, aż świsnęło ostrze. — Jak człowiek może walczyć ze snem?

Obejrzał się na Lycona, który chrapał obok, i rozbudził go kopniakiem.

— Pomyje dla świń — oświadczył Lycon przecierając oczy. — Przynieś jeszcze dzban i to szybko, bo... co jest? co się stało?

Elak ubierał się pospiesznie.

— Co się stało? Coś, czego się nie spodziewałem. Jak mogłem poznać ze słów Dalana, co za istota pojawiła się w Atlantydzie? — Splunął z obrzydzeniem. — To ohydztwo nigdy nie przejmie smoczego tronu!

Wsunął miecz do pochwy.

— Znajdę Dalana. I pojedę z nim. Do Cyreny.

Elak milczał, lecz w jego oczach odbijała się groza i odraza. Widział Błądą Istotę. I wiedział, że słowa nigdy nie potrafią opisać potwornej obrzydliwości i obcości Karkory.

Lecz Dalan znikł. Znalezienie druida w pełnej ludzi Po-sejdonii okazało się niemożliwe. W końcu Elak zrezygnował z poszukiwań i postanowił wziąć sprawę we własne ręce. Dowiedział się, że galera *Kraken* ma odpłynąć tego dnia i żeglować wzdłuż zachodniego brzegu. Kiedy w końcu udało się wynająć przewoźnika, a ten dowiózł jego i Lycona do statku, wiosła galery zanurzały się już w wodę.

Łupinka Elaka podpłynęła do burty, a on sam wspiął się na pokład ciągnąc za sobą Lycona. Rzucił monetę przewoźnikowi, który natychmiast odpłynął.

Mokre od potu grzbiety niewolników pochylały się w równym rytmie pod batami nadzorców. Jeden z nich, wściekły, podbiegł do nowo przybyłych.

—Coście za jedni? — zawołał. — Czego szukacie na *Krakenie*?

—Prowadź nas do kapitana — odparł krótko Elak. Dotknął palcami ciężkiej sakiewki u pasa. Brzęknęły monety. Nadzorca był zafrapowany.

—Ruszamy w morze — powiedział. — Czego chcecie?

—Przejazdu do Cyreny — warknął Lycon. — Pospiesz...

—Przyprowadź ich tu, Rasul — odezwał się gruby głos. — To przyjaciele. Dowieziemy ich do Cyreny, a jakże!

Od strony rufy zbliżał się szybkim krokiem Drezzar, przeciwnik Elaka w karczemnej bójce. Białe zęby lśniły wśród czarnej brody.

—Hej! — ryknął w stronę pobliskiej grupki zbrojnych marynarzy. — Łapać tych dwóch! Żywcem brać! Ty psie — zwrócił się do Elaka głosem pełnym zimnej pasji i podniósł rękę, jakby chciał uderzyć jeńca.

—Chcę się dostać do Cyreny — oznajmił spokojnie Elak. — Dobrze zapłacę.

—Zapłacisz — Drezzar wyszczerzył zęby i zerwał Elakowi

z pasa sakiewkę. Otworzył ją i wysypał złote monety. — Odpracujesz także. Ale nie dopłyniesz do Cyreny. Obejrzał się na nadzorcę.

— Dwóch wiosłarzy dla ciebie, Rasul. Dwóch jeszcze niewolników. Dopilnuj, żeby się nie obijali.

Odwrócił się i odszedł. Elak nie stawiał oporu, gdy zaciągnięto go na wolne miejsce i zakuto. Lycon znalazł się obok. Ich dłonie chwyciły wyrobione uchwyty wiosła.

Rasul strzelił z bata.

— Ciągnąć! Ciągnąć! —zawołał.

Kraken ruszył w morze. Przykuty do wiosła Elak wyteżał miesiące przy pracy, do jakiej nie był przyzwyczajony, i uśmiechał się nieprzyjemnie.

4. Statek żegluje na północ

*Harfa Orfea jej grała,
Fale rozcinał dziób srogi,
U wiosel pięćdziesięciu herosów jak bogi,
Piana przy jej burtach biała,
Lśniąca z portu wypływała,
A każda lina dźwięcząc wołała,
Z drogi! Z drogi!*

Benet

Płynęli wzdłuż wybrzeża. Wyminęli południowy przylądek Atlantydy, by ruszyć na północny zachód, obok zakrzywionej linii brzegu. Dni były piękne i bezchmurne, a niebo błękitne jak wody Morza Oceanicznego.

Elak czekał aż do pewnego popołudnia, gdy *Kraken* rzucił kowcę przy niezamieszkaną wyspę, by odnowić zapasy wody. Drezzar zszedł na brzeg z grupą żeglarzy, pozostawiając na pokładzie tylko kilku ludzi. Nie powinni mieć problemów, jako że niewolnicy byli w łańcuchach. Zresztą Drezzar miał jedyne klucze. O zachodzie jednak Elak szturchnięciem obudził Lycona i kazał mu uważać na nadzorców.

—Po co? — zapytał zgryźliwie Lycon. — Czy... — przerwał widząc, jak Elak wyjmuje z sandała maleńki, poskręcany kawałek metalu i wsuwa go delikatnie w otwór zamka. — Bogowie! — szepnął. — Miałeś to przez cały czas i czekałeś aż do dziś?

—Te zamki łatwo otworzyć — rzekł Elak. — Co? Oczywiście, że czekałem. Teraz mamy na pokładzie tylko kilku przeciwników zamiast ponad tuzina. Pilnuj, mówię ci.

Lycon usłuchał. Od czasu do czasu na pokładzie słychać było kroki, tu i tam słabo paliły się latarnie. Chlupotanie wody o kadłub zagłuszało ciche zgrzyty i trzaski zamka. W końcu Elak odetchnął z zadowoleniem i otworzył kajdany.

Zgrzytnął metal i Elak był wolny. Pochylił się nad Lyconem... i wtedy na górnym pokładzie zastukały pospieszne kroki. Podbiegł nadzorca, Rasul, ciągnąc za sobą długi bat. Spojrzał w dół — i przeklinając dobył miecza. Drugą ręką zamachnął się i opuścił gruby rzemień wprost na odkryte ramiona Elaka.

Lycon ruszył do akcji. Jednym szybkim ruchem rzucił się w przód, by osłonić Elaka. Bat wyrwał mu z boku kawał skóry i ciała. Natychmiast jednak żyłasta dłoń Elaka zamknęła się na grubym rzemieniu i szarpnęła mocno, wyrwijąc bat z dłoni Rasula.

— Hej! — ryknął nadzorca. — Hej tam! Do mnie! — Jego głos niósł się wyraźnie ponad wodą. Długi miecz migotał blade w świetle latarni.

Dwaj zbrojni nadbiegli na pomoc. Rozeszli się na boki i zbliżyli do Elaka. Ten wyszczerzył zęby w ponurym, wilczym uśmiechu. Bat, który trzymał zwinięty w rękę, skoczył nagle jak atakujący wąż. Świsnął obciążony metalem koniec. W półmroku rzemień był ledwie widoczny, nie sposób było się przed nim uchylić. Rasul wrzasnął z bólu.

— Zabić go! — zawołał.

Trójka natarła i Elak cofnął się. Jego dłoń poruszała się lekko, gdy operował batem. Rzucony sztylet trafił go w ra-

mię, popłynęła krew. Jeden z marynarzy zatoczył się, krzyząc chrapliwie i podnosząc dłonie do oczu, oślepionych potężnym uderzeniem rzemienia.

— Zabijcie mnie zatem — szepnął Elak z kpina w głosie. — Lecz psie kły są ostre, Rasulu.

Dostrzegł, że pochylony nad swymi okowami Lycon nerwowo operuje kawałkiem metalu, który miał go uwolnić. Jakies głosy odezwały się z brzegu. Rasul krzyknął w odpowiedzi i natychmiast uchylił się dysząc, gdy bat świsnął w mroku.

— Strzeż się mych kłów, Rasulu — uśmiechnął się groźnie Elak.

Teraz obaj marynarze — Rasul i jego towarzysz — cofali się krok za krokiem przed groźbą strasznego bata. Nie potrafili się przed nim zasłonić, nie widzieli, jak spadał z mroku niby wąż i zjadliwie skakał im do oczu. Niewolnicy pobudzili się i krzykiem dodawali Elakowi odwagi. Oślepiony marynarz źle postawił stopę i runął pomiędzy nich. Przycisnęli go, wychudłe ręce wyciągnęły się i szarpały w świetle latarni. Krzyczał przez jakiś czas, aż umilkł.

Ponad wrzawą wzniósł się przenikliwy, stanowczy krzyk Lycona.

— Do wiosła! ryknął. — Zanim wróci Drezzar! Wiosłować, jeśli chcecie wolności!

Na przemian przeklinał, groził i prosił, cały czas zręcznymi palcami pracując przy swych łańcuchach.

Elak usłyszał jakiś szept z boku, dostrzegł, że jeden z galeńników podaje mu miecz, upuszczony przez oślepionego żelgarza. Pochwycił go z wdzięcznością i odrzucił bat. Dotyk chłodnej, owiniętej skórą rękojeści sprawił mu rozkosz. Poczł falę energii, przepływającą od klingi poprzez ramię.

Wolałby swoją broń, ale i ta się przyda.

— Moje kły, Rasulu — roześmiał się i natarł. Dwaj jego przeciwnicy odskoczyli na boki, lecz przewidział ten manewr. Odwrócił się plecami do Rasula, ciał drugiego nadzorcę i odskoczył, o włos tylko unikając ciosu. Teraz już tylko Rasul

stał mu naprzeciw. Drugi przeciwnik padł chwytając się za gardło, rozcięte aż po kręgosłup.

— Do wiosel! — wrzasnął Lycon. — Jeśli wam życie mile!

Długie wiosła zatrzeszczały i poruszyły się nieskładnie, potem zatrzymowała rutyna i wolno, rytmicznie pióra zanurzyły się w wodzie. Lycon podawał tempo. Galera stopniowo nabierała szybkości.

Na pokładzie błyskały miecze, dźwięczała stal. Lecz nie było pisane Elakowi zabić Rasula. Nadzorca potknął się, przykleknął — i czyjeś ręce pociągnęły go w ciemność. Krzyczał, gdy wciągano go między ławki galerników. Ich przepelnione nienawiścią głosy zabrzmiały tryumfem, Rasul wrzasnął, i umilkł na zawsze.

Lycon zerwał się, wolny od łańcuchów. Przeklinał galerników, ich chwilowa nieuwaga spowodowała zamieszanie. Wiosło, pochwycone pomiędzy inne, trzasnęło i pękło. Trzon wygiął się w łuk, odskoczył i zmienił twarz wiosłarza w krwawą miązgę. Zza burty dobiegały krzyki i ktoś wydawał komendy.

Nad relingiem pojawiła się wykrzywiona strasznie twarz Drezgara z płonąca czerwono blizną. Kapitan trzymał miecz w zębach. Za nim wspinali się uzbrojeni marynarze.

Lycon ruszył ku nim ze zdobycznym mieczem w dłoni, poganiając gniewnie galerników. Wiosła zanurzyły się znów, galera ponownie ruszyła przez fale. Ktoś dawno już odciął kotwicę.

Tuzin zbrojnych otaczało Lycona, opartego plecami o maszt. Bronił się dzielnie i klął potoczyście. Kilka kroków za nimi kocim ruchem przesuwiał się Drezzar, a żądza mordy płonęła w jego oczach. Dostrzegł Elaka i rzucił się ku niemu wznosząc miecz.

Elak nie tracił czasu na szukanie swej broni. Skoczył do przodu pod klingą Drezgara. Tamten nie spodziewał się takiego ataku. Przewrócili się razem i tarzali po zalanym krwią pokładzie.

Drezzar próbował odwrócić miecz w dłoni, by wbić go w plecy przeciwnika. Lecz gibkie ciało Elaka wygięło się w bok i równocześnie jego szczupłe, mocne palce zacisnęły się na nadgarstku kapitana.

Drezzar nie potrafił już zmienić linii ciosu. Elak ciągnął pchnięcie dalej, aż ostrze wbiło się gładko w brzuch marynarza i zatrzymało zgrzytnąwszy o kręgosłup.

— To moje kły, Drezzarze — szepnął cichutko Elak, a jego wilcza twarz pozostała bez wyrazu. Nacisnął na miecz i wbił go jeszcze głębiej, jak motyla przybijając kapitana do pokładu. Drezzar otworzył usta, straszliwy ból wyrwał z niego ostatni oddech. Ręce biły o pokład, tułów wygiął się w łuk. Pluł krwią, zaciskał zęby, aż pękły w drzazgi — i tak skończył.

Elak podniósł się. Dostrzegł ciężki żelazny klucz wiszący u jego pasa. Zerwał go i rzucił między niewolników. Z ciemności dobiegły wdzięczne głosy.

Lycon wołał o pomoc. Elak ruszył ku niemu, lecz wynik bitwy był już przesądzony. Jeden po drugim uwolnieni galernicy podawali klucz swym sąsiadom i wybiegali na pokład, by dołączyć do Elaka. W końcu ostatni z marynarzy leżał martwy na pokładzie, a wiosłarze — już nie w łańcuchach, już wolni — pędzili statek poprzez ciemne morze ku północy.

5. Aynger z Amenalku

*Żyt bowiem mąż w kraju zagubionym
Wśród gładów i ludzi złamanych...*

Chesterton

Dopłynęli do ponurego, pustego urwiska wznoszącego się wysoko ponad galerą. Zimny jesienny wiatr wypełniał żagle dając odpocząć zmęczonym wiosłarzom. Morze nabrało równej, szarej barwy, długie fale bez grzyw sunęły pod nie-

bieskoszarym niebem. Słońce prawie nie grzało. Załoga, szukając ciepła i wygody, korzystała z okrętowych zapasów oliwy, wina i wełnianych koców.

Elaka irytowała niemożność działania. Pragnął być już w Cyrenie, chodził wciąż po pokładzie, bawił się mieczem i myślał nad tajemnicą stworzenia zwanego Karkorą. Czym była Błada Istota? Skąd przybyła? Problemy te były nie do rozwiązania i pozostały takimi, dopóki pewnej nocy Elaka nie nawiedził sen.

Śnił o Dalanie. Kapłan, zdawało się, stał na leśnej polanie, a przed nim migotał czerwono ogień. I rzekł Dalan:

— Porzuć swój statek u czerwonej delty. Szukaj Ayngera z Amenalku. Powiedz mu, że pragniesz tronu Cyreny!

To było wszystko. Elak przebudził się słysząc trzeszczenie desek kadłuba i szept fal uderzających się o burtę. Zbliżał się świt. Wstał, wyszedł na pokład i osłaniając oczy dłonią zbadał horyzont.

Z prawej strony dostrzegł wyrwę w skałach. Za nią była wyspa. A na wyspie wznosił się zamek. Zdawało się, że jest częścią skały, że z niej wyrasta.

Galera przepłynęła obok. Teraz Elak zobaczył, że pomiędzy skałami płynie rzeka, tworząca u ujścia deltę z czerwonego piachu.

Tak więc, o chmurnym, chłodnym poranku Elak i Lycon opuścili galere. Wdzięczni wioślarze odstawili ich na brzeg, gdzie obaj przyjaciele wpięli się na północne urwisko i rozejrzeli wokół. Płaskowyż ciągnął się w głąb lądu bez jednego drzewa czy krzaka, omiotany wiatrem i niegościnnie. Na zachodzie leżało Morze Oceaniczne, zimne i nieprzystępne.

—Może ten Aynger z twojego snu mieszka w tym zamku. —

Lycon wyciągnął rękę drżąc od chłodu. — Jeden z ludzi powiedział mi, że to Kiriath. Na północy, za górami, leży Cyrena.

—Wiem — odparł posepnie Elak. — A w Kiriath panuje Sopher, którym zawładnął Karkorą. No cóż, chodźmy.

Ruszyli brzegiem urwiska. Zimny wiatr niósł ostre, wyso-

kie dźwięki, zdające się dobiegać zewsząd. Smutne, żalodne, tajemnicze, unosiły się w powietrzu wokół nich.

Poprzez równinę zbliżał się człowiek — wielki, szary mężczyzna, niedbale ubrany, z nieuczesanymi włosami i stalo-woszarą brodą. Grał na kobzie, lecz odłożył ją, gdy ujrzał obcych. Podeszedł bliżej, zatrzymał się i skrzyżował ręce na piersi. Czekał.

Jego twarz mogłaby być wykuta z twardej skały tej wyspy. Była szorstka i nieprzystępna, a zimne szare oczy miały barwę morza.

— Czego tu szukacie? — zapytał. Głos miał dźwięczny i całkiem przyjemny.

Elak zawahał się.

— Ayngera. Ayngera z Amenalku. Znasz go może?

— Ja jestem Aynger.

Na moment zaległa cisza. Potem Elak powiedział:

— Chcę tronu Cyreny.

Radość błysnęła w szarych oczach. Aynger z Amenalk wyciągnął rękę i boleśnie ścisnął Elaka za ramię.

— Dalan cię przysłał! — rzekł. — Dalan!

Elak skinął głową.

— Nie ja jestem ci potrzebny. Szukasz Mayany, córki Posej-dona. Tam ją znajdziesz. — Wskazał daleki zamek. — Jej tylko moc może przyjść ci z pomocą. Lecz najpierw — chodź.

Poprowadził ich do krawędzi, gdzie wąska, niebezpieczna ścieżka wiodła w dół postrzępionego urwiska. Aynger ruszył swobodnym, pewnym krokiem, Elak i Lycon szli za nim bardziej ostrożnie. Daleko pod nimi fale przyboju biły o skały, a morskie ptaki nawoływały się krzykliwie.

Ścieżka kończyła się u wejścia do jaskini. Aynger wszedł i skinął na pozostałą dwójkę. Grota rozszerzała się w wysoko sklepioną komorę, najwyraźniej jego mieszkanie. Wskazał ręką stos futer i podał gościom po wielkim rogu miodu.

— Więc Dalan cię przysłał. Spodziewałem się tego. Oran-der nie żyje. Kiedy Błada Istota przystawi swą pieczęć na człowieku, tylko poprzez śmierć można jej uciec.

—Karkora - mruknął Elak. — Czym on jest? Wiesz może, Ayngerze?

—U Mayany musisz szukać odpowiedzi, na wyspie. Ona jedna wie. Mayana... z mórz. Opowiem ci. — Wspomnienie rozjaśniło jego oczy, dziwna miękkość pojawiła się w głosie. — Ta kraina na zachodnim brzegu to Amenalk. Nie Kiriath. Kiedyś, dawno temu, Amenalk rozciągał się daleko na wschód. Byliśmy wtedy wielkim narodem. Lecz podbili nas najeźdźcy i teraz tylko ten skrawek ziemi nam pozostał. Lecz to Amenalk. A ja mieszkam tu, gdyż w moich żyłach płynie krew królów.

Aynger potrząsnął swą szarą, splątaną grzywą.

— Od wieków stał ten zamek na wyspie. Stał pusty. Istniały legendy, że zanim jeszcze Amenalkowie objęli tę krainę, pradawny lud morza miał w nim mieszkanie. Czarodziejami byli, magami i czarnoksiężnikami. Wymarli jednak i odeszli w zapomnienie. Tak jak, w swoim czasie, mój na ród rozproszył się po Kiriath i zostałem tu sam.

Sepher rządził dobrze i mądrze. Pewnej nocy wyruszył sam na urwiska Amenalku, a gdy wrócił do swego pałacu, przywiódł ze sobą wybrankę. To była Mayana. Niektórzy mówią, że znalazł ją w zamku na wyspie. Inni, że wyłoniła się spośród fal. Myślę, że nie jest zwykłą kobietą. Że pochodzi z dawnego ludu morza...

Cień okrył kraj. Z ciemności, z otchłani nieznanego, przybył Karkora. Zabrał duszę Sephera. Mayana uciekła tutaj i żyje odtąd w zamku, chroniona przez swą magię. A Karkora panuje.

Oczy Ayngera płonęły łagodnym blaskiem, broda sterczała w przód.

— Mój lud był rasą druidów — oświadczył. — Czuliśmy wielkiego Midera, jak ja czczę go dzisiaj. I powiadam wam, że Karkora to ohyda i groza, zło, które rozprzestrzeni się na cały świat, jeśli druidom nie uda się go zniszczyć. Mayana zna jego sekrety. Mayana wie. Musicie iść do niej, na wyspę. Co do mnie... — Zacisnął potężną pięść. — Mam w żyłach

krów królów, a lud mój żyje, choć w niewoli. Ruszę przez Kiriath, by gromadzić ludzi. Myślę, że przyda ci się armia, nim zasiądziesz na smoczym tronie Cyreny. Dobrze. Znajdę armię dla ciebie i dla Midera.

Aynger sięgnął do tyłu i podniósł ciężki, owinięty rzemieniami bojowy młot. Uśmiech przemknął po jego posepnej twarzy.

— Będziemy walczyć jak dawniej, w barwach wojennych i bez zbroi. Myślę, że Łamacz Hełmów znowu posmakuje krwi. Jeśli zyskasz pomoc Mayany — dobrze. Lecz z tobą czy bez ciebie, przybyszu z Cyreny, Amenalk ruszy do bitwy!

Jego wielka postać odbijała się czernią na tle otworu wejścia: posepna, pradawna figura, potężna pierwotną siłą. Odstąpił w bok i wyciągnął rękę.

— Twoja droga wiedzie tam, na wyspę. Moja prowadzi w głąb łądu. Kiedy spotkamy się znowu, jeśli się spotkamy, będę miał dla ciebie armię.

Bez słowa Elak wyminął Ayngera i zaczął wspinać się ścieżką. Lycon podążał za nim. Stanęli nieruchomo na nagiej równinie, a szary olbrzym milcząc przeszedł obok nich i ruszył przed siebie, niosąc na ramieniu wielki młot. Wiatr rozwiewał mu brodę i włosy.

Sylwetka Ayngera malała w dali. Elak skinął na Lycona.

—Mamy tu chyba silnego sprzymierzeńca. Będzie nam potrzebny. Lecz teraz — Mayana. Jeśli potrafi rozwiązać zagadkę Karkory, to znajdę ją, choćbym musiał tam popłynąć.

—Nie ma potrzeby — zauważył Lycon ocierając usta. —

Boże, dobry był ten miód! Tam jest most, widzisz? Dość wąski, ale wystarczy. Chyba że postawiła smoka na straży.

6. Mayana

*Wśród gęstych wodorostów obelisk się chyli I
dryfują umarli z dawnych, dawnych wieków,
Ciała kochanków i królów, co śmiertelnie byli
Zranieni poprzez usta lub ciosem sztyletu.*

Zatopione wieże

Z krawędzi urwiska sterczał wąski mostek, naturalna formacja skalna, wygładzona przez wiatry i deszcze. Dobiegał do wąskiej półki, gdzie wśród kamieni ział czarny o-twór.

— Zaczekaj tu, Lyconie — odezwał się Elak. — Sam muszę iść tą drogą.

Mały człowieczek sprzeciwił się gwałtownie, Elak jednak był stanowczy.

— Tak będzie bezpieczniej. W ten sposób nie wpadniemy obaj w tę samą pułapkę. Jeśli nie wrócę do zachodu słońca, idź za mną. Może będziesz mógł mi pomóc.

Choć niechętnie, jednak Lycon musiał mu przyznać rację. Wzruszył tłustymi ramionami.

— Dobrze więc. Zaczekam w jaskini Ayngera. Mocny ma miód, chętnie poprobuję go jeszcze. Powodzenia, Elaku.

Atlantyda kiwnął głową i ruszył na mostek. Uznał, że bezpieczniej będzie nie patrzeć w dół i starać się nie zwracać uwagi na grzmiący groźnie huk przyboju. Krzyczały i kwiliły morskie ptaki, wiatr uderzył w utrzymujące z trudem równowagę ciało.

W końcu był już po drugiej stronie i poczuł pod stopami twardą stabilność skalistego gruntu. Nie oglądając się wkroczył do jaskini. Niemal natychmiast wszelkie głosy przycichły i uspokoiły się.

Druga wiodła w dół — naturalny korytarz, jak się zdawało, wijący się w skale. Szedł po grubym piasku, gdzieniegdzie napotykając kawałki muszli. Przez pewien czas pano-

wała ciemność, potem pojawił się słaby, zielonkawy blask, emanujący jak gdyby z piasku, po którym kroczył.

Cisza była zupełna.

Tunel prowadził w dół, aż Elak poczuł stopami wilgoć. Zatrzymał się i rozejrzał. Kropelki rosy pokrywały skalne ściany. W nozdrzach czuł zapach wody i soli. Poluzował miecz w pochwie i ruszył dalej.

Zielony blask był coraz wyraźniejszy. Elak minął zakręt korytarza i stanął nieruchomo. Przed nim otwierała się wielka skalna komora.

Była olbrzymia i budziła niepokój. Z niskiego sklepienia stalaktyty w miriadach barw i kształtów zwisały ponad taflą podziemnego jeziora. Wszystko lśniła zielenią. Ciężar wyspy nad jego głową zdawał się zapierać oddech, choć powietrze było w miarę świeże, mimo słonego zapachu morza.

Spod jego stóp wybiegał ku nieruchomej powierzchni wody piaszczysty półksiężyc plaży. Dalej, bardzo daleko, dostrzegał niewyraźne cienie, przypominające zatopione budowle — zwalone perystyle i kolumny. A jeszcze dalej, na środku jeziora, była wyspa.

Pokrywał ją skruszony marmur. Tylko niewielka świątynia w środku zdawała się nienaruszona, chłodna, biała, doskonała wyrażała spomiędzy gruzów. Wokół ciągnęły się ruiny martwego miasta, aż po linię brzegu i dalej. Przed Elakiem leżała zatopiona, zapomniana metropolia.

Cisza i bladozielony przestwór idealnie gładkiego jeziora.

— Mayano — zawoła cicho Elak. Nie było odpowiedzi.

Zmarszczył brwi zastanawiając się nad czekającym go zadaniem. Czuł dziwną pewność, że ta, której szuka, znajduje się w świątyni na wysepce. Nie było żadnego sposobu, by się tam dostać, chyba że wplaw. A w nieruchomej zieleni wód wyczuwał coś złowróżbnego.

Wzruszył ramionami i ruszył przed siebie. Lodowaty chłód dotknął jego stóp, wspiał się wyżej, aż do lędźwi, potem do piersi. Elak odbił się i popłynął. Z początku było to proste i szybko posuwał się naprzód.

Woda była jednak straszliwie zimna. Na szczęście także słońca, co pomagało utrzymać się na powierzchni. Gdy jednak spojrzął w stronę wyspy, spostrzegł, że ta nie zbliżyła się ani trochę. Burknął niechętnie, zanurzył twarz w wodzie i mocniej zamachał nogami.

Kiedy otworzył oczy i spojrzął w dół, zobaczył pod sobą zatopione miasto.

Niezwykłe to było uczucie, unosić się tak ponad niewyraźnymi kształtami marmurowych ruin. Pod sobą dostrzegał ulice, budynki i powalone wieże, doskonale widoczne w przejrzystej wodzie, lecz mimo to cieniste i zamglone, jakby nierzeczywiste. Zielona mgielka spowijała miasto. Miasto cieni...

I cienie poruszały się i dryfowały w tym nieruchomym morzu. Nieskończenie wolno przesuwają się jak plamy na marmurze, nabierając kształtu przed oczyma Elaka.

Nie morskie stwory, nie. Cienie ludzi chodziły po zatopionej metropolii, niezwykłym, posuwistym ruchem przemieszczały się tam i z powrotem, spotykały się, dotykały i rozdzielały znowu w niezwykłej imitacji życia.

Kłujące, duszące zimno wypełniło usta i nozdrza Elaka. Parsknął, pojmując nagle, że znalazł się pod powierzchnią, że podświadomie wstrzymując oddech opadł w głębinę. Z wysiłkiem sunął w górę.

Okazało się to dziwnie trudne. Miękkie, chwytniwe ramiona zdawały się go dotykać, wody pociemniały. Wynurzył jednak głowę i zaczerpnął chłodnego powietrza. Jedyne płynąc ze wszystkich sił potrafił utrzymać się na powierzchni. Tajemnicza siła ściągała go w dół.

Zanurzył się. Oczy miał otwarte i daleko pod sobą dostrzegł ruch w zatopionym mieście. Mgliste kształty płynęły w górę, wznosiły się wirując jak jesienne liście i sunęły ku powierzchni. Cienie zbiegały się przy Elaku, krępując go więzami delikatnymi, lecz przylegającymi jak pajęczyna.

Ciągnęły go w dół, ku lśniącej głębinie.

Wyrwał się z wysiłkiem. Raz jeszcze wynurzył głowę ponad wodę, zobaczył wysepkę, teraz bliższą.

— Mayano! —zawołał. —M a y a n o!

Cienie poruszyły się szybciej. Zdawało się, że wstrząsnęła nimi fala drwiącego śmiechu. Zbiegły się znowu, mgliste, ledwie wyczuwalne, nierealne. Elak zanurzył się, zbyt zmęczony, by walczyć, pozwolił, by cienie robiły to, co chcą. Tylko jego umysł rozpaczliwie wzywał Mayanę, ostatnim wysiłkiem starając się przywołać ją na pomoc.

Wody pojaśniały. Zielone lśnienie rozjarzyło się szmaragdowym blaskiem. Cienie zatrzymały się jakby z wahaniem, zdawały się nasłuchiwać.

I nagle pochwyciły Elaka na nowo i poniosły go przez wodę, odniósł wrażenie szybkiego ruchu pomiędzy wirami zielonego ognia.

Cienie dotarły z nim do wysepki, uniosły do góry jak na grzbiecie fali i złożyły na piasku.

Zielony blask przygasł, stał się delikatny jak poprzednio. Elak powstał z trudem, krztusząc się i kaszląc. Rozejrzał się wokół.

Cienie zniknęły. Tylko nieruchome jezioro rozciągało się przed nim. Stał pomiędzy ruinami miasta na wyspie.

Pospiesznie, choć niezbyt pewnym krokiem, oddalił się od wody. Wspinając się na popękane cokoły i obalone filary torował sobie drogę do świątyni w centrum. Wznosiła się na niewielkim placu, nie naruszona przez czas, choć każdy jej kamień był brudny i odbarwiony.

Odrzwia z brązu stały otworem, Elak wspiał się niepewnie na schody i przystanął przed progiem. Za drzwiami widział komnatę zalaną znajomym zielonym blaskiem, pustą, jeśli nie liczyć zasłony na przeciwległej ścianie, zrobionej z jakiejś metalicznej materii i ozdobionej trójzębem boga mórz.

W ciszy słychać było tylko przyspieszony oddech Elaka. Potem, nagle, zza zasłony dobiegł cichy odgłos pluśnięcia. Rozsunęła się materia.

Za nią płonęło zielone światło tak jaskrawe, że musiał przymknąć oczy. Na tle tego blasku zarysowała się przez moment sylwetka nieziemsko smukła i wysoka. Elak widział

ją przez sekundę tylko, potem zasłona opadła na miejsce i postać zniknęła.

W świątyni rozległ się głos, brzmiący niby delikatny szept drobnych pluszczących fal. I ten głos mówił:

— Jestem Mayana. Dlaczego mnie szukasz?

7. Karkora

/ ujrzałem bestię wychodzącą z morza, mającą dziesięć rogów i siedem głów, a na rogach jej dziesięć diademów, a na jej głowach imiona bluźniercze. A smok dał jej swą moc, swój tron i wielką władzę.

Apokalipsa, 13:1

Wilgotne palce Elaka dotknęły rękojeści rapiera. Szept nie niósł groźby, był jednak dziwnie nieludzki. Sylwetka, którą widział przez moment, nie mogła należeć do ziemskiej kobiety.

Mimo to głos mu nie drgnął, gdy odpowiadał spokojnie:

— Chcę zasiąść na smoczym tronie Cyreny. I przybyłem tu, by prosić cię o pomoc przeciw Karkorze.

Zapadła cisza. Kiedy znowu usłyszał szept, ten niósł w sobie smutek fal na wietrze.

—Czy muszę ci pomóc? Przeciw Karkorze?

—Czy wiesz, co to za istota? — spytał Elak.

—Tak, wiem to dobrze — metaliczna zasłona drgnęła. —

Usiądź. Jesteś zmęczony. Jak cię nazywają?

—Elak.

—Słuchaj więc, Elaku. Opowiem ci o przybyciu Karkory i o Erykionie czarnoksiężniku. I o Sepherze, którego kochałam.

Przez chwilę panowała cisza, potem cichy szept podjął opowieść.

— Kim jestem i czym jestem, tego wiedzieć nie musisz,

lecz powinieneś zrozumieć, że nie jestem do końca człowiekiem. Moi przodkowie żyli w tym zatopionym mieście. A ja... cóż, na dziesięć lat przybrałam ludzką postać i zamieszkałam z Sepherem, którego kochałam. Wciąż miałam nadzieję, że dam mu syna, by pewnego dnia wstąpił na tron. Próżna to była nadzieja, tak przynajmniej mi się zdawało.

Na dworze żył Erykion, mag. Jego czary były nie z morza, miękkie i delikatne jak fale, lecz z mroczniejszego żywiołu. Erykion przeszukiwał ruiny świątyń i pochylał się nad manuskryptami pełnymi wiedzy tajemnej. Jego spojrzenie sięgało w przeszłość, zanim jeszcze lud morza narodził się z lędźwi Posejdon. Erykion otwierał zakazane wrota Przestrzeni i Czasu. Zaproponował, że da mi dziecko, a ja usłuchałam go, ku mej zgryzocie.

Nie będę ci mówić o miesiącach spędzonych w dziwnych świątyniach, przed strasznymi ołtarzami. Nie będę mówić o czarach Erykiona. Urodziłam syna — martwego.

Srebrzysta zasłona zadrżała. Długa chwila minęła, zanim niewidoczna istota odezwała się znowu.

— Syn ten budził lęk. Był zdeformowany w sposób, którego nie chcę pamiętać. Magia odebrała mu człowieczeństwo. Lecz był moim synem, synem mojego męża, i kochałam go. Kiedy Erykion zaproponował, że obdarzy go życiem, zgodziłam się na cenę, jakiej zażądał — mimo, że zapłatą miało być samo dziecko.

„Nie skrzywdzę go”, zapewniał Erykion. „Nie, dam mu moc większą od mocy któregokolwiek z bogów i ludzi. Pewnego dnia będzie władał tym światem i innymi także. Tylko oddaj mi go, Mayano”. A ja usłuchałam.

Niewiele wiedziałam o magii Erykiona. Coś weszło w ciało mego syna, gdy go nosiłam, lecz co to było — nie wiem. Było martwe i przebudziło się. Erykion to obudził. Zabrał ślepe, nierozumne dziecko i zaniósł je do swej siedziby w głębi gór. Swą magią pozbawił je wszelkich resztek pięciu zmysłów. Pozostawił jedynie samo życie i obcego przybysza wewnątrz.

Pamiętam, co powiedział mi Erykion. „Mamy w sobie szósty zmysł, pierwotny i ukryty, który wyniesiony na powierzchnię może stać się niezwykle potężny. Wiem, jak to zrobić. Słuch ślepcy może być bardzo czuły, siła jego wzroku przechodzi do pozostałych zmysłów. Jeśli nowo narodzone dziecko pozbawimy wszystkich pięciu zmysłów, to jego moc zgromadzi się w szóstym. Moja magia może to uczynić”. Tak więc Erykion zmienił mego syna w istotę ślepa, głuchą i niemal nieświadomą. Przez całe lata odczyniał nad nim swe czary i otwierał bramy Przestrzeni i Czasu, pozwalając obcym mocom przenikać do naszego świata. Szósty zmysł dziecka był coraz silniejszy. A przybysz w jego umyśle rósł coraz większy, niekępowany ziemskimi więzami, które ograniczają ludzi. To mój syn, moje dziecko, jest Karkorą Bładym.

Cisza. I znowu szept.

— Nie dziwisz się więc, że nie do końca nienawidzę i przeklinam Karkorę. Wiem, że to groza i potwór, który nie powinien istnieć, lecz to ja go zrodziłam. Dlatego też, kiedy opanował umysł Sephera, swego ojca, uciekłam do tego zamku. Tu żyję samotna wśród cieni. Staram się nie pamiętać, że znałam kiedyś pola i niebo, i ogień ziemi. Tu, w miejscu, do którego należę, zapominam.

A ty przychodzisz, by prosić mnie o pomoc — gniew odezwał się w cichym głosie, — Pomoc w zniszczeniu tego, co pochodzi z mego ciała!

— Czy ciało Karkory jest... twoim? — spytał cicho Elak.

— Nie, na Ojca Posejdona! Kochałam ludzką część Karkory, a niewiele już z niej zostało. Błada Istota jest... jest... włada tysiącem groźnych potęg dzięki temu jednemu niezwykłemu zmysłowi. Ten zmysł otworzył bramy, które na zawsze powinny pozostać zamknięte. Karkorą przebywa w innych światach, poza mrocznymi morzami, poza czarną pustką z dala od ziemi. I wiem, że stara się rozciągnąć swą władzę na wszystkie te światy. Kiriath poddało mu się i Cyrena chyba także. Nadejdzie czas, gdy zapanuje nad całą Atlantydą i nie tylko.

—A Erykion czarnoksiężnik? Co z nim?
—Nie wiem — odparła Mayana. — Może nadal żyje w swej cytadeli, razem z Karkorą. Od lat go nie widziałam.
—Czy można Karkorę zabić?
Mayana milczała długo, zanim odpowiedziała:
—Tego nie wiem, Jego ciało, które spoczywa w cytadeli, jest śmiertelne, lecz to, co mieszka w jego wnętrzu — nie. Gdybyś zdołał dotrzeć do ciała Karkory, to nawet wtedy nie mógłbyś go zabić.
—Nic nie może zniszczyć Bladej Istoty?
—Nie pytaj mnie o to — głos Mayany zadźwięczał gniewem.
— Istnieje jeden przedmiot, jeden talizman, a tego nie chcę i nie mogę ci dać.
—Będę musiał odebrać ci siłą twój talizman — powiedział wolno Elak. — Jeśli zdołam. Lecz nie chcę tego robić.
Zza zasłony dobiegł odgłos, który go zdumiał — cichy, żalony szloch, w którym słychać było cały nieskończony smutek płaczącego morza.
—Chłód panuje w moim królestwie, Elaku — szepnęła Mayana łamiącym się głosem. — Chłód i samotność. A ja nie mam duszy, tylko własne życie, dopóki trwa. Trwa długo, lecz gdy się skończy, czeka mnie tylko ciemność, gdyż pochodzę z ludu morza, Elaku. Żyłam przez pewien czas na ziemi i zamieszkałabym tam znowu, wśród zielonych pól, gdzie jasne bławatki i wesołe stokrotki kwitły w trawie, gdzie pieściły mnie świeże podmuchy wiatru. Ognie na kominkach, dźwięk ludzkich głosów, miłość mężczyzny — mój Ojciec Posejdon wie, jak tęsknię za nimi.
—Talizman — przypomniał Elak.
—A tak, talizman. Nie możesz go dostać.
— Jaki świat tu powstanie — spytał bardzo cicho Elak — jeśli zapanuje Karkora?
Zasłona drgnęła, Mayana westchnęła głośno.

— Masz słuszność — rzekła. — Otrzymasz talizman, gdy będzie ci potrzebny. Może się zdarzyć, że zdołasz bez niego pokonać Karkorę. Modlę się, by tak było. Oto więc moje słowo: w godzinie potrzeby, lecz nie wcześniej, pošlę ci talizman. A teraz idź. Karkora na ziemi używa ciała Sephera. Zabij Sephera. Podaj mi swą klingę, Elaku.

Mężczyzna bez słowa wyjął z pochwy miecz i wyciągnął go przed siebie, rękojeścią do przodu. Zza zasłony wysunęła się dłoń.

Dłoń niehumanoidalna, niezwykła! Wąska i blada, biała jak mleko, z najdelikatniejszym rysunkiem na skórze sugerującym łuskę. Palce były szczupłe i wydłużone, na pozór pozbawione stawów, a między nimi wyrastała cieniutka błona.

Ta dłoń ujęła broń Elaka i cofnęła się za zasłonę. Po chwili pojawiła się znowu, nadal trzymając miecz, którego ostrze lśniło bladozieloną poświatą.

— Teraz twoja broń zdoła zabić Sephera. Przywróci mu to pokój.

Elak pochwyił rękojeść. Nieziemskie dłoń pospiesznie nakreśliła nad klingą pradawny znak.

— Tak oto posyłam wiadomość dla Sephera, mego męża, I... Elaku, zabij go szybko. Pchnięcie poprzez oko w mózg nie przysporzy mu zbyt wiele cierpienia.

Potem, nagle, dłoń wysunęła się w przód i dotknęła czoła Elaka. Ten poczuł momentalny zawrót głowy, gwałtowne uniesienie falami płynące przez jego ciało.

— Będziesz pił moją siłę, Elaku — szepnęła Mayana. — Bez niej nie masz szans w walce z Karkorą. Pozostań ze mną przez jeden miesiąc — by pić moc morza i magię Posejdona.

— Miesiąc...

— Czas nie będzie istniał. Zaśniesz, a podczas snu będziesz czerpał moc. Gdy się zbudzisz, będziesz mógł silny wyruszyć na bój.

Coraz bardziej kręciło mu się w głowie, czuł, że opuszczają go zmysły.

—Lycon... — wyszeptał. — Muszę mu przesłać wiadomość...
—Przemów zatem, a on usłyszy. Mój czar otworzy mu uszy.
Niewyraźnie, jakby z bardzo daleka, Elak usłyszał zdumiony głos Lycona:
—Kto mnie wołał? Czy to ty, Elaku? Gdzie...? Nie widzę nikogo na tym pustym urwisku.
—Przemów do niego — rozkazała Mayana. I Elak usłuchał.
—Jestem bezpieczny Lyconie. Muszę tu zostać przez jeden miesiąc, sam. Nie czekaj. Mam dla ciebie zadanie.
Usłyszał stłumione przekleństwo.
—Jakie zadanie?
—Ruszaj na północ, do Cyreny. Odszukaj Dalana, a jeśli ci się nie uda, zbierz armię. Cyrena musi być gotowa, gdy Kiriath wyruszy. Powiedz Dalanowi, jeśli go spotkasz, o tym, co zrobiłem i że będę przy nim za miesiąc. Potem niech Druid kieruje twymi krokami. I... niech cię Isztar strzeże, Lyconie.
—I tobie niech Matka Isztar będzie tarczą — dobiegły z dala słowa. — Uczynię to. Żegnaj.
Zielony mrok przesłonił oczy Elaka.
Niewyraźnie, poprzez opadające powieki, dostrzegł jeszcze, jak odsuwa się srebrzysta zasłona i ciemna postać postępuje ku niemu — sylwetka wiotka i wysoka ponad ludzkie rozmiary, a przy tym delikatnie kobieca. Mayana wykonała gest wezwania — i cienie wpłynęły do świątyni.
Przemknęły do Elaka, przynosząc mu mrok i chłodną, u-spokajającą ciszę. Opadł i zasnął, a magiczna moc kobiety morza wlewała się w cytadelę jego duszy.

8. Tron Smoka

*Pył gwiazd mieliśmy pod stopami, w górze rój
gwiazd, co się tli
Strzępy naszego gniewu w dół wirując spadały
gdyśmy walczyli, napierali i szli Planety rozsiewali-
śmy wokół nas, w bok rzucając
za światem świat
W tę noc gdy szliśmy na Yalhalle, przed
milionami lat*

Kipling

Księżyc urósł i zmałał, aż w końcu Elak przebudził się na drugim brzegu, po stronie wejścia do jaskini prowadzącego w świat na górze. Podziemne jezioro leżało ciche u jego stóp, wciąż skąpane w delikatnym zielonym blasku. W dali widział wyspę i wyróżniał biały zarys świątyni — świątyni, w której spał przez miesiąc. Lecz nie dostrzegał żadnych śladów życia, żadne cienie nie poruszały się w głębinie. W sobie jednak wyczuwał źródło siły, którego wcześniej nie było.

Zamyślony ruszył krętym korytarzem i przeszedł skalnym mostkiem na równinę. Była pusta. Słońce chyliło się ku zachodowi, a chłodny wiatr dmuchał od strony morza.

Elak wzruszył ramionami. Spojrzał ku północy, a jego dłoń musnęła rękojeść miecza.

— Najpierw koń — mruknął. — A potem — Sepher. Niosę ostrze dla królewskiego gardła.

Tak więc nim minęły dwie godziny, najemny, żołnierz leżał martwy, a krew plamiła jego skórzaną tunikę, Elak zaś galopował ku północy na zdobytym wierzchowcu. Popędzał go mocno, by szybko przebyć Kiriath, a po drodze zmienne wiatry donosiły mu rozmaite pogłoski. Sephera nie ma już w stolicy, głosiła plotka. Na czele potężnej armii szedł ku północy, do Bramy — górskiego przejścia wiodącego do Cyreny. Z najdalszych granic Kiriath ściągali na królewskie

wezwanie wojownicy, najemnicy i poszukiwacze przygód najeżdżali zewsząd, by mu służyć. Płacił dobrze i obiecywał bogate łupy — zdobycz z Cyreny.

Ślad krwi znaczył drogę Elaka. Dwa konie zajeżdżał na śmierć, lecz w końcu Brama była poza nim. Jak burza przejechał przez Las Sharn i przebył w bród Monrę. Na horyzoncie pojawiły się zębate mury zamku, do którego zmierzał. Stąd rządził Orander. Tu stał smoczy tron, serce Cyreny.

Przez zwodzony most Elak wjechał na dziedziniec. Rzucił cugle stojącemu z rozdziawionymi ustami słudze i pobiegł przez podwórzec. Znał na pamięć każdy krok. W tym zamku przyszedł na świat.

W końcu wpadł do sali tronowej, wysokiej i rozgrzanej popołudniowym słońcem. Zebrali się tu mężowie, książęta i szlachta Cyreny, baronowie, diukowie i grupka pomniejszych wodzów. Obok tronu — Dalan, a przy nim Lycon z twarzą o niezwykle posepnym wyrazie, wyjątkowo trzeźwy i pewnie stojący na nogach.

— Na Midera! — ryknął Lycon. — Elak? Elak!

Nowo przybyły precisnął się przez pomrukujący, niezdecydowany tłum. Zatrzymał się przed tronem, chwycił Lycona za ramię i ścisnął boleśnie. Ten wyszczerzył zęby.

— Dzięki niech będą Isztar — mruknął. — Nareszcie znów mogę się upić.

— Obserwowałem cię w kryształach — rzekł Dalan. — Lecz nie mogłem pomóc. Magia Bładej Istoty sprzeciwiała się mojej. Myślę jednak, że pomagają ci teraz inne czary — magia morza.

Odwrócił się do zebranych i wznosząc ramiona nakazał ciszę.

— Oto wasz król — oznajmił

Rozległy się krzyki, niektóre wyrażające aprobatę, inne pełne obiekcji i gniewnego protestu.

— Tak, to Zeulas — woła wysoki, chudy starzec. — Znowu powrócił. To jest brat Orandera!

— Zamilcz, Hiro — warknął inny. — Ten strach na wróble ma być królem Cyreny?

Elak zaczerwienił się i postąpił o pół kroku naprzód. Powstrzymał go głos Dalana.

— Nie wierzysz. Gorliasie? — zapytał. — Dobrze. Czy znasz godniejszego kandydata? Czy sam siądziesz na smoczym tronie?

Gorlias spojrział na druida z dziwnie przestraszoną miną i odwrócił się bez słowa. Pozostali zaczęli klócić się od nowa.

Uciszył ich Hira. Jego szczupła twarz promieniowała tryumfem.

— Jest jeden pewny sprawdzian. Nich go podejmie.

Po czym, zwracając się do Elaka, wyjaśnił:

— Szlachta Cyreny żarła się od śmierci Orandera jak sta do psów. Każdy pożył władzy dla siebie. Baron Kond krzyczał głośniejsze od innych. Dalan w imieniu Midera zaofiarował mu smoczy tron, jeśli potrafi go utrzymać.

Zebrani zaczęli szeptać między sobą niespokojnymi, zaleknionymi głosami.

—Kond wszedł na podium miesiąc temu i zasiadł na tronie — mówił dalej Hira. — I zginął! Zabiły go ognie Midera.

—Tak — szepnął Gorlias. — Niech ten Elak usiądzie na tronie.

Chór okrzyków świadczył, że wszyscy się zgadzają. Lycon zdawał się zaniepokojony.

— To prawda, Elaku — powiedział. — Widziałem. Czerwony płomień pojawił się znikąd i spalił Konda na popiół.

Dalan milczał, a jego brzydka twarz nie wyrażała niczego. Elak nic nie mógł wyczytać w jego oczach.

— Jeśli potrafisz zasiąść na tronie — rzekł Gorlias — pójde za tobą. Jeśli nie — będziesz martwy. Zgoda?

Elak nie odpowiedział. Odwrócił się i powoli wszedł na podium. Zatrzymał się na chwilę przed olbrzymim tronem Cyreny, zapatrzony w złotego smoka wijącego się na opar-

ciu, złote smoki na poręczach. Od wieków władcy Cyreny rządzili z tego miejsca, rządzili z honorem i po rycersku, zasiadając pod smokiem. I Elak przypomniał sobie, jak w Posejdonii czuł się niegodny tego tronu.

Czy ognie Midera zabiją go, gdy zajmie miejsce swego niezującego brata?

Elak modlił się w duchu.

— Jeśli nie jestem godzien — prosił boga, nie z lekceważeniem, lecz jak wojownik wojownika — zabij mnie raczej, ale nie pozwól, by tron został zhańbiony. Do ciebie należy sąd.

I zajął miejsce na smoczym tronie.

Cisza niby całun okryła wielką salę. Twarze szlachty wyrażały napięcie i skupienie. Lycon oddychał szybko. Dłonie druida, skryte pod brunatną szatą, wykonały szybki, ukradkowy gest, jego wargi poruszyły się bezgłośnie.

Czerwone światło rozbłysło nad tronem. Krzyk podniósł się w sali, coraz głośniejszy, bez słów, pełen przerażenia. Ognie Midera płonęły oślepiającym blaskiem otulając Elaka.

Okryły go falującym, purpurowym całunem, wirowały dookoła, promieniując żarem.

Po chwili uformowały się w niezwykle, fantastyczny kształt, zwiniętą figurę, z każdą chwilą bardziej wyraźną.

Smok z płomieni opasywał Elaka swymi zwojami!

Aż nagle znikł. Lycon klął i dyszał ciężko, inni miotali się dookoła. Dalan stał nieruchomo i uśmiechał się lekko.

Na smoczym tronie siedział nietknięty Elak! Żaden z płomieni go nie poparzył, żaden żar nie zaczerwienił jego skóry. Oczy mu lśniły. Skoczył na nogi, wyrwał z pochwy miecz i bez słowa wzniósł go w górę.

Zadźwięczały klingi, stalowy las podniósł się nad głowami zebranych. Rozległ się chóralny okrzyk.

Lordowie Cyreny przysięgali wierność swemu królowi!

Elak pojął wkrótce, że praca dopiero się zaczęła. Wojska Sephery nie wkroczyły jeszcze do Cyreny, król Kiriath czekał za barierą gór, aż zgromadzi wszystkie swe siły. Lecz

wyruszy już niedługo, a Cyrena musi się zorganizować do tego czasu, by stawić mu opór.

— Karkora nie napadał na Kiriath — rzekł Elak do Dalana, gdy pewnego dnia jechali przez Las Sharn. — Zamiast tego zaatakował umysł władcy. Dlaczego używa wojska, by zdobyć Cyrenę?

Bezkształtna, brunatna szata druida trzepotała uderzając o boki jego wierzchowca.

— Czy zapomniałeś o Oranderze? Próbował z nim i nie udało mu się. A potem nie było już jednego władcy. Gdyby odebrał duszę Kondowi czy Gorliasowi, nadal miałby przeciw sobie innych ze szlachty. A podbić Cyrenę musi, gdyż jest to twierdza Midera i druidów. Karkora wie, że musi nas zniszczyć, zanim będzie mógł zawładnąć tym światem i innymi, co jest jego zamiarem. Wykorzystuje więc Sephera i armię Kiriath. Wydał już rozkazy, by zabijać wszystkich druidów.

— Co z Ayngerem? — spytał Elak.

— Dziś nadeszła od niego wiadomość. Zgromadził swych Amenalków w górach poza Bramą. Czekają na nasz rozkaz. To barbarzyńcy, Elaku, ale dobrzy sprzymierzeńcy. Walczą jak rozszalałe wilki.

Cyrena stawała pod bronią. Z gospodarstw i dworów zamków i cytadeli, miast i fortec płynęły potoki ludzi okrytych żelazem. Drogi błyszczały od stali i rozbrzmiewały stukiem końskich podkówek. Smocze proporce trzepotały w podmuchach chłodnego, zimowego wiatru.

Do broni! W imię Midera i Smoka, dobądźcie mieczy! Tak wołali posłańcy, tak przekazywano dalej ich słowa. Powstańcie przeciw Sepherowi i Kirith!

Jasno lśniły miecze obrońców Cyreny. Łaknęły krwi.

A Sepher z Kiriath jechał na północ, by spotkać się ze Smokiem.

9. Młot Ayngera

*Muzyki dźwięki szły wraz z nim, Gło-
śne, lecz dziwnie dalekie, Jak dzikie
kobzy z krain zachodnich, Zbyt ostre,
by uszy pojęły melodie, Co dłonie ją
grały groźnie i swobodnie Gdy martwy
ruszał na wojnę.*

Chesterton

Pierwszy śnieg tej zimy okrył Bramę bielą. Wokół wznosiły się wysokie, oszronione szczyty górskiego łańcucha, a mroźny wicher dmuchał mocno przez przełęcz. W ciągu miesiąca głęboki śnieg i lawiny uczynią przełęcz prawie niemożliwą do pokonania.

Na bladobłękitnym niebie nie było nawet chmurki. W rozrzedzonym powietrzu oko z zadziwiającą wyrazistością rozróżniało najdrobniejsze szczegóły. Głos niósł daleko, tak samo jak szelest śniegu pod stopami i trzaski skał kaszanych lodowatym zimnem.

Przełęcz miała siedem mil długości i zwężała się tylko w kilku punktach. W większości była szeroką doliną, otoczoną stromymi ścianami, do której zbiegały wąskie kaniony.

Świt rozpałił i rozświecił wschód. Słońce wypłynęło zza okrytego śniegiem szczytu. Na południe od przewężenia Bramy czekała część armii Cyreny. Dalej stały odwody. Na zboczach kryli się łucznicy i kusznicy oczekując właściwej chwili, by deszczem śmierci zasypać najeźdźców. Srebrzysta stal rozbłyскиwała na tle śnieżnej bieli i posepnej czerni skał.

Elak na swym bojowym rumaku zajął pozycję na niewielkim wzgórk. Zbliżył się Hira. Jego wychudła twarz była skupiona, tylko w wyblakłych ochach lśniła radość bitwy. Zasalutował.

— Łucznicy zajęli pozycje i są gotowi — oznajmił. — Ustawiliśmy na miejscach kamienie i głazy, by zmiażdżyć wojska Sephera, gdyby zapędziły się za daleko.

Elak kiwnął głową. Miał na sobie inkrustowaną złotem kolczugę i dopasowany hełm z błyszczącej stali. Podniecenie odbijało się na jego wilczej twarzy, gdy hamował rwącego się do biegu konia.

— Dobrze. Hiro. Ty tu dowodzisz. Ufam twoim decyzjom.

Gdy Hira odjechał, pojawili się Dalan i Lycon, ten ostatni zarumieniony i dość niepewnie trzymający się w siodle. W garści ścisnął róg, z którego od czasu do czasu pociągał miodu. Jego długi miecz obijał się o bok konia.

— Minstrele będą śpiewać pieśni o tej bitwie — oświadczył.

— Nawet bogowie będą ją obserwować z jakimś zainteresowaniem.

— Nie bluźnij — upomniał go Dalan, po czym zwrócił się do Elaka. — Mam wiadomość od Ayngera. Jego dzicy Ame-nal-kowie czekają w tamtym bocznym kanionie — druid skinął ręką. — Zjawią się, gdy będziemy ich potrzebować.

— Zgadza się — wtrącił Lycon. — Widziałem ich. Szaleńcy i diabły! Pomalowali się farbą niebieską jak niebo i są zbrojni w kosy, cepy i młoty. Między innymi. Wygrywają na swoich kobzach i przechwalają się, co jeden to głośniejszy. Tylko Ayn-ger siedzi milczący i gładzi swój Łamacz Hełmów. Wygląda jak posąg wykuty z szarego kamienia.

Lycon zadrżał na to wspomnienie i wypił miód do końca.

— Na boga — stwierdził ze smutkiem — róg jest pusty.

Muszę poszukać miodu.

Po czym odjechał kiwając się w siodle.

— Mały, pijany pies — zauważył Elak. — Lecz na rękojeści miecza jego dłoń będzie dostatecznie pewna.

Z dala rozległ się ostry głos trąbki, odbijany echem przez górskie szczyty. Pojawiła się przednia straż armii Sephera, z początku widoczna tylko jako migotanie stali hełmów i grotów uniesionych włócznie. Szli wzdłuż przełęczy, równo, nieubłaganie, w ciasnym szyku bojowym. Piskliwie grała trąbka.

W odpowiedzi warknęły bębny Cyreny. Ich głos narastał,

aż przeszedł w groźny wibrujący grzmot. Brzęknęły czynele, rozwinęły się proporce ze smokiem.

Wojska Kiriath jechały bez sztandaru. Zbliżały się w milczeniu, jeśli nie liczyć brzęku żelaznych podków i gniewnego głosu trąbki. Gigantyczna szachownica zsunęła się w dolinę: pikinierzy, łucznicy, rycerze, najemnicy — szli naprzód, zła-knie- ni podboju i łupów. Elak bezskutecznie szukał wzrokiem Sephe- ra.

Najeźdźcy przyspieszali powoli, z początku niemal nieza- uważalnie, potem szybciej, aż w końcu wojska Kiriath pędziły przez przełęcz Bramy opuszczając lance i wznosząc miecze. Trąbka zagrała szybki, groźny sygnał.

Siedzący w siodle Dalan niepewnie poruszył swym potężnym ciałem. Wydobył długi miecz.

Elak rozejrzał się. Za nim stała wyczekująca armia. Wszystko było gotowe.

Król Cyreny uniósł się w strzemionach i skinął mieczem.

— Do ataku! Naprzód, Smoku! — krzyknął.

Z krzykiem ruszyli do przodu obrońcy Cyreny. Coraz bardziej zbliżały się do siebie dwie armie. Bębny wybijały rytm śmierci, gwar odbijał się gromem od ośnieżonych szczytów.

Chmura strzał wzleciała w górę, wojownicy padali z wrza- skiem. Potem, z hukiem zdającym się kruszyć skalne ściany, ar- mie zderzyły się.

Było to jak uderzenie pioruna. Wszelki rozsądek i plan roz- wiał się w wirze czerwieni i srebra stali, w lawinie włóczni, świszczących strzał i tnących mieczy. Wrogowie natychmiast otoczyli Elaka. Jego broń uderzała szybko, niby atakujący wąż, krew spływała po ostrzu. Koń kwiknął i runął na ziemię z pod- ciętymi pęcunami. Elak wyrwał stopy ze strzemion. Dostrzegł, że pędzi mu na pomoc Lycon, ściskający miecz tak niemal długi jak on sam, lecz z zadziwiającą swobodą operujący tą bronią swymi pulchnymi, dłońmi. Ściął głowę jednemu z wrogów, innemu zmiażdżył twarz celnym kopnięciem okrytej stałą stopy, a po chwili Elak skakał już na siodło wierzchowca pozbawionego jeźdźca.

Na powrót rzucił się w wir walki. Brązowa, łyśa czaszka Dalana podnosiła się i zniżała w pobliżu, druid ryczał jak dzika bestia, a jego miecz fruwał, wirował i wbijał się głęboko. Brunatna szata przesiąkła krwią. Koń Dalana był jak opętany — rżał piskliwie, poruszał czerwonymi falującymi nozdrzami, chwycił zębami, stawał dęba i kopał podkowami o ostrych krawędziach. Druid i jego rumak niby zaraza pędzili przez pole bitwy, krew mieszała się z potem na zabiej twarzy Dalana.

Elak dostrzegł Sephera, władca Kiriath, smagły, brodaty olbrzym, wyrastał ponad swych ludzi walcząc w śmiertelnym milczeniu. Uśmiechając się ponuro, Elak skierował ku niemu konia.

W dali rozległo się wysokie zawrozczenie kobz. Z bocznego wąwozu wylegli ludzie — barbarzyńcy, półnaczy, umalowani w niebieskie barwy. Wojownicy Ayngera! Na ich czele biegł sam Aynger z rozwianą szarą brodą, ze swym młotem, Łamaczem Hełmów, w rękach. Wskoczył na skałę i skinął w stronę sił Kiriath.

— Zabić najeźdźców! — krzyknął. — Zabić! Zabić!

Dzikie kobzy Amenalków zawyły w odpowiedzi. Pomalowani na niebiesko barbarzyńcy ruszyli naprzód.

Spomiędzy szeregów Sephera wyleciała strzała, pomknęła ku Ayngelowi i wbiła się głęboko w jego nagą pierś. Przywódca Amenalków ryknął z bólu, a jego ciało wygięło się w łuk. Krew trysnęła z ust.

Spomiędzy wojsk Kiriath wysunął się batalion konnych i ruszył do szarży. Pognali ku Amenalkom opuszczając lance z trzepoczącymi proporcami.

Aynger padł! Martwy runął ze skały w ramiona swych ludzi. Pisnęły żałośnie kobzy i Amenalkowie pobiegli z powrotem unosząc ciało swego władcy.

Z przekleństwem na ustach Elak uchylił się przed ciosem, powalił napastnika i skierował konia ku Sepherowi. Rękojeść jego miecza była śliska od krwi, czuł ból w wielu miejscach, a krew płynęła mu z licznych ran. Dyszał ciężko, du-

sząc się od zapachu potu i posoki. Pędził po ziemi pokrytej wijącymi się ciałami ludzi i koni.

Niedaleko walczył Dalan, rykiem dając ujście swej wściekłości. Wrzawa bitwy odbijała się od skał ogłuszającym echem.

Ciągle wzywały do boju trąbki Kiriath, ciągle odpowiadały im bębny i czynsze Cyreny.

I ciągle zabijał Sepher, zimno, równo, bez śladu emocji na smagłej twarzy.

Wojska Kiriath ruszyły do kolejnej szarży. Siły Cyreny cofały się, walcząc rozpaczliwie o każdy krok, spychane nieustępliwie w zwięzającą się kotlinę.

Z góry łucznicy ślali śmierć w szeregach Kiriath.

Coraz szybciej posuwała się naprzód armia Sephera. Panika wkradła się w szeregi Cyreny. Smoczy sztandar został zdobyty i pocięty na strzepy ostrymi klingami.

Na próżno starał się Elak poderwać swych ludzi. Na próżno druid wykrzykiwał groźby.

Odwrót zmienił się w ucieczkę. Walcząc i przepychając się gęsty tłum pędził w wąską przełęcz. Uporządkowany odwrót mógłby jeszcze przynieść zwycięstwo, gdyż siły Kiriath wchodząc w wąwóz znalazłyby się w pułapce pod gradem kamieni spychanych przez rozstawionych w górze ludzi. Tak jednak armia Cyreny była skazana na zagładę, oczekująca ostatniego ciosu.

Kiriath poderwał się do szarży.

Niespodziewanie Elak usłyszał dziwny dźwięk dobiegający gdzieś spośród gór. Ponad fanfary trąbek wzbily się wysokie, z każdą chwilą głośniejsze tony kobz.

Z bocznego kanionu wypadła bezładna horda błękitnych barbarzyńców Amenalku. Pośród nich biegła grupa wojowników z podniesionymi tarczami. A na tarczach leżało ciało Ayngera.

Głośno, przenikliwie grały kobzy Amenalku swą niesamowitą muzykę. Umalowani i dzicy, szaleni z żądzы krwi wojownicy pędzili za trudem swego wodza.

Martwy Aynger prowadził swój lud do bitwy!

Amenalkowie wypadli na tyły armii najeźdźców. Cepy, kosy i miecze uniosły się, opadły i uniosły znowu, czerwone od krwi. Jakiś olbrzym wskoczył na platformę tarcz i stanął w rozkroku nad ciałem Ayngera wymachując bojowym młotem.

— Łamacz Hełmów! — krzyknął. — Naprzód! Łamacz Hełmów!

Zeskoczył. Ciężki młot wznosił się, opadał i zabijał. Kaski i hełmy pękały pod straszliwymi ciosami, Amenalk z Łamaczem Hełmów zataczał kręgi krwawej śmierci.

— Łamacz Hełmów! Bij! Zabij!

Szeregi Kiriath zachwiały się pod naporem atakujących. Korzystając z chwili ulgi Elak z Dalanem zebrali rozproszoną armię. Przeklinając, wrzeszcząc i wymachując mieczami zdołali zaprowadzić porządek wśród uciekających. Elak podniósł z ziemi poszarpany smoczy sztandar i rozwinął nad głową. Potem obrócił wierzchowca ku wrogom, trzymając drzewce w jednej ręce, a nagi miecz w drugiej, głęboko wbił ostrogi w jego boki.

— Naprzód, Smok! — krzyknął. — Cyrena! Cyrena!

Ruszył galopem na wojska Kiriath. Za nim jechali Lycon i druid, a dalej resztki armii. Hira sprowadzał ze skał swych łuczników, kusznicy skakali w dół jak kozice, chwyтали miecze i włócznie, i pieszo biegli za swym królem.

— Cyrena!

Bębny i czynele warknęły na nowo. Poprzez wrzawę słychać było kobzy wygrywające swą niesamowitą melodię.

— Łamacz Hełmów! Bij! Zabij!

Rozpętało się piekło, szal wrzasków, bezlitosny bój, przez który pędził Elak mający po bokach Dalana i Lycona. Pędził wprost ku Sepherowi. Dalej, wciąż dalej, ponad kwiczącymi końmi i konającymi ludźmi, poprzez wir błyszczącej, złaknionej stali, poprzez cięcia, ciosy i pchnięcia.

Aż dostrzegł przed sobą twarz Sephera.

Smagłe oblicze władcy Kiriath wyrażało obojętność, coś nieludzkiego odbijało się w jego zimnych oczach. Lodowaty dreszcz wstrząsnął Elakiem. Zawahał się przez moment, a wielki miecz Sephera wzniósł się, by zadać straszliwy cios.

Elak nie próbował uniku. Wystawił swoje ostrze i stając w strzemionach pchnął z całej mocy.

Zaczarowana klinga utkwiała w krtani Sephera. Jednocześnie Elak poczuł, jak plecy drętwieją mu od uderzenia miecza, jak rwie się jego kolczuga. Ostrze wbiło się głęboko w grzbiet wierzchowca.

Oczy Sephera zgasły. Przez jedno uderzenie serca pozostał wyprostowany w siodle, a potem jego twarz zmieniła się, pociemniała od błyskawicznego rozkładu, czerniała i gniła przed oczyma Elaka. Śmierć, tak długo powstrzymywana, skoczyła teraz jak drapieżna bestia.

Odrażający, ohydny trup pochylił się i runął z siodła, by leć nieruchomo na przesiąkniętej krwią ziemi. Czarna posoka sączyła się spomiędzy szczelin pancerza, twarz wpatrzona martwo w niebo budziła grozę.

Wtedy, bez ostrzeżenia, ciemność i absolutna cisza opadła na Elaka i otuliła go szczelnym całunem.

10. Czarna wizja

A diabła, który ich zwodzi, wrzucono do jeziora ognia i siarki, tam gdzie są Bestia i Fałszywy Prorok. I będą cierpieć katusze we dnie i w nocy na wieki wieków.

Apokalipsa, 20:10

Znowu poczuł zawrót głowy, zwiastujący zbliżanie się Karkory. Wysokie, przenikliwe wycie drażniło mu uszy, miał wrażenie szybkiego ruchu. Pojawił się obraz.

Na nowo ujrzał wysoką turnię, wznoszącą się ponad góry. Czarna wieża stała na jej wierzchołku. Coś ciągnęło go

w przód, żelazne wrota otworzyły się u podnóża skały i zatrzasnęły, gdy tylko je minął.

Drażniący dźwięk umilkł. Ciemność panowała absolutna, lecz w mroku wyczuwał Obecność, świadomą przybycia Elaka.

Pojawiła się Błada Istota.

Elak poczuł nagłą dezorientację, nie potrafił się skupić. Myśli rozbiegały się, odlatywały w mroczną pustkę. Na ich miejsce wpęzło coś i rozrastało się, postępowała myślowa inwazja. Moc Karkory płynęła przez umysł Elaka, spychając ludzką świadomość i duszę na zewnątrz, w pustkę. Przygniatało go senne poczucie nierealności.

Bez słów wezwał Dalana.

W dali zapalił się niewyraźny, złoty ognik. Elak dosłyszał głos druida, szepczącego cicho z otchłani:

— *Miderze... pomóż mu, Miderze...*

Ogień Midera zgasł. Elak znów odczuł szybki ruch. Uniósł się...

Ciemność rozproszyła się. Był skąpany w szarym świetle. Zdawało się, że trafił do wieży na wierzchołku turni — do cytadeli Karkory. Lecz to miejsce nie mogło znajdować się na tej ziemi!

Płaszczyzny i kąty pomieszczenia, w którym znalazł się Elak, były niesamowicie poskręcane i wypaczone. Prawa materii i geometrii najwyraźniej oszalały. Pnące się krzywe sunęły obszernie w dziwacznych ruchach, nie było perspektywy. Szare światło żyło, pełzało i migotało. A biały cień Karkory płonął zimno strasznym blaskiem.

Elak wspomniął słowa Mayany, morskiej czarodziejki, gdy mówiła o swym potwornym synu: *Karkor przebywa w innych światach, poza mrocznymi morzami, poza czarną pustką z dala od ziemi.*

Z wiru chaosu wypłynęła twarz, nieludzka, szalona i straszna. Twarz człowieka, lecz w nieokreślony sposób zezwierzęcona i zwyrodniała, z rzadką siwą brodą i płonącymi oczyma. I znów Elak wspomniął, jak Mayana mówiła o Ery-

kionie, magu, który stworzył Błądą Istotę: *Może nadal żyje w swej cytadeli, razem z Karkorą. Od lat go nie widziałam.*

Jeśli był to Erykion, to czarnoksiężnik padł ofiarą własnego dzieła. Był szalony, piana kapłała mu z ust na rzadką brodę. Coś wysssało jego umysł i duszę.

Mag znikł, wciągnął go z powrotem straszliwy, pozbawiony praw geometryczny chaos. Elak poczuł ból oczu, gdy tak patrzył, niezdolny do najmniejszego ruchu. Przed nim jaśniał cień Bładej Istoty.

Płaszczyzny i kąty przemieniały się, otwierając przed Elakiem przepaście i otchłanie. Spoglądał przez niezwykle bramy, widział inne światy. Skurczył się z przerażenia, gdy zajrzał w głębię Dziewięciu Piekieł. Straszliwe życie poruszyło się przed jego oczami, z czarnych otchłani wynurzały się stwory o nieludzkich kształtach. Trupi zaduch tamował mu oddech.

Coraz silniejszy był myślowy atak, Elak czuł, jak jego umysł cofa się pod strasznym naporem obcej siły. Karkora patrzył, nieruchomy i śmiertelnie groźny...

— Miderze — modlił się Elak. — Miderze, pomóż mi!

Szalejące płaszczyzny poruszyły się szybciej w dzikich sara-bandach zła. Sunęły mroczne wizje, otwierając prze Elakiem szersze perspektywy. Widział niewyobrażalne, bluźniercze stwory, mieszkańców zewnętrznych otchłani, grozę niepojętą dla ziemskiego życia...

Biały cień Karkory powiększył się, pełzający blask migotał odrażająco. Elak czuł, że jego zmysły drętwieją, a ciało zmienia się w lód. Nic nie istniało prócz gigantycznej teraz sylwetki Karkory, Błada Istota sięgała zimnymi palcami do jego mózgu.

Atak nabierał siły jak fala przyływu. Znikąd nie nadchodziła pomoc. Było tylko zło, szaleństwo i czarna, ohydna groza.

Aż nagle Elak usłyszał głos — szum falujących wód. Wiedział, że to Mayana przemawia do niego za pomocą swych czarów.

— W godzinie potrzeby przynoszę ci talizman przeciwko Karkorze.

Głos ucichł, ryk morza rozbrzmiewał Elakowi w uszach. Zielona poświata przesłoniła szalone, zmienne płaszczyzny i kąty. W szmaragdowej mgłę unosiły się cienie — cienie Mayany.

Spłynęły ku niemu. Poczuł, jak wciskają mu coś w rękę, coś ciepłego, wilgotnego i śliskiego.

Podniósł tę rzecz do oczu i spojrzął... trzymał w dłoni serce, krwawe, bijące — żywe!

Serce Mayany! Serce, pod którym rósł w jej łonie Karkora! Talizman przeciwko niemu!

Przenikliwe brzęczenie wzniosło się nagle w piskliwy wrzask szaleństwa, szarpiąc uszy Elaka i jak nóż wbijając się w jego umysł. Krwawiące serce, które trzymał w dłoni, pociągnęło go do przodu. Wolno postąpił jeden krok, potem drugi.

Wokół niego pulsowało gasnące szare światło, biały cień Karkory przybrał gigantyczne rozmiary. Szalone płaszczyzny migotały w szybkim tańcu.

Elak spojrzął w dół, w otwór, na którego krawędzi się znalazł. Tam, w głębi pustki, kończyła się niestabilność otaczającej go materii. A dziesięć stóp pod sobą zobaczył niekształtny, bezwładny kadłub barwy ludzkiego ciała.

Był wielkości człowieka i nagi. Lecz nie był to człowiek. Gąbczaste ramiona przyrosły do jego boków, nogi zrosły się razem. Od chwili narodzin ten stwór nie poruszył się samodzielnie. Był ślepy i nie miał ust, a jego zdeformowana, groteskowa głowa budziła grozę.

W jamie spoczywało tłuste, zniekształcone, przerażające ciało Karkory.

Serce Mayany wyrwało się z ręki Elaka i opadło, by spocząć na piersi straszego stworzenia.

Drżenie wstrząsnęło Karkorą. Potworne ciało zwinęło się i szarpnęło.

Z bijącego serca rozlewała się plama krwi, pokrywając

zdeformowany tułów. Po chwili Karkora utracił cielesną barwę, stał się czerwony jak blask zachodzącego słońca. I nagle w jamie nie było niczego, jedynie poszerzająca się wolno kałuża szkarłatu. Błada Istota zniknęła.

W tej samej chwili ziemia pod nogami Elaka drgnęła, poczuł, że jakaś siła porywa go w tył. Przez sekundę zdawało mu się jeszcze, że patrzy z daleka na turnię i wieżę pośród ośnieżonych górskich szczytów, że widzi, jak skała kołysze się i złowroga turnia pada z hukiem.

Zdołał pochwycić tylko przelotne spojrzenie, potem czarna zasłona zakryła jego świadomość. Zobaczył niewyraźny, biały owal. Po chwili owal stał się wyraźniejszy, aż zmienił się w twarz Lycona, który pochylony przysuwał mu do ust wypełniony po brzegi kubek.

— Pij! — przynagłał. — Pij, ile zdołasz!

Elak usłuchał, lecz po kilku łykach odepchnął naczynie. Chwiejąc się stanął na nogi.

Znajdował się na przełęczy Bramy. Wokół wypoczywali żołnierze Cyreny, tu i tam widział także pomalowanych na niebiesko wojowników Amenalku. Na ziemi leżały trupy. Sępy zataczały już kręgi na niebie.

Dalan stał niedaleko i przyglądał się mu w skupieniu.

—Jedna tylko rzecz mogła cię ocalić w twierdzy Karkory — powiedział. — Jedna rzecz...

—Została mi dana — odparł posepnie Elak. — Karkora nie żyje.

Okrutny uśmiech wykrzywił wąskie wargi druida.

—Niech tak giną wszyscy wrogowie Midera — wyszeptał.

—Zwyciężyliśmy, Elaku — wtrącił Lycon. — Armia Ki-riath uciekła, gdy zabiłeś Sephera. Bogowie, ależ jestem spragniony.

Elak nie odpowiedział. Jego wilcza twarz była ponura, w oczach odbijał się smutek. Nie dostrzegał proporców ze smokiem rozwijających się na wietrze, nie próbował sobie wyobrazić czekającego go tronu Cyreny. Wspominał cichy głos mówiący z tęsknotą o polach i ogniskach ziemi, wąską,

nie ludzką dłoń, która wysunęła się zza zasłony... morską czarodziejkę, która zginęła, by ocalić świat niebędący jej światem.

Cień zniknął znad Atlantydy, złoty smok władał Cyreną pod wielkim Miderem. Lecz w zatopionym mieście cienie Mayany będą płakać po córce Posejdona.

Spis rozdziałów

	str.
I. Grom o świcie.....	5
1. Czary druida.....	5
2. Wikingowie w Cyrenie	9
3. Przez Czarny Las.....	15
4. Moc czarnoksiężnika.....	19
5. Mieszkańcy wyspy.....	23
6. Noc bogów.....	29
7. Solona i Mider	33
8. Przybycie do Cyreny.....	39
9. Wodzowie w Sharn.....	44
10. W Dolinie Czaszek.....	51
11. Jak zginął Garnicor.....	56
12. Mag i druid.....	62
II. Nasienie Dagona.....	72
III. Miesiąc Smoka.....	92
1. Elak z Atlantydy	92
2. Smoczy tron.....	95
3. Bramy snu.....	98
4. Statek żegluje na północ	101
5. Aynger z Amenalku.....	105
6. Mayana.....	110
7. Karkora.....	114
8. Tron Smoka.....	120
9. Młot Ayngera.....	125
10. Czarna wizja.....	131